



PRENUMERATA W WARSZAWIE:
 We wszystkich księgarniach i kantorach pisma peryodycznych po cenie miesięcznie kop. 60, kwartalnie rub. 1 kop. 80, półrocznie rub. 3 kop. 60, rocznie ub. 7 kop. 20. — Na Pradze w księgarni S. Rzymskiego, Wileńska № 4.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
 rocznie rub. 10, kwartalnie rub. 2 kop. 50.
 Cena numeru pojedynczego kop. 20

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE
POŚWIĘCONE SPRAWOM KOBIECYM.
 Wychodzi pod redakcją ZOFII SEIDLEROWEJ.

Ekspedycja główna: ul. Nowy-Świat 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administr. „Bluszczu“ po kop. 15 za wiersz nonparelowy lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim: We Lwowie w głównej ekspedycji „Bluszczu“, Pasaż Hausmana 9, kwartalnie kor. 5, na prowincji z przes. poczt. kor. 6.60. W Krakowie u D. E. Friedleina: kwartalnie kor. 5, na prowincji z przesyłką pocztową kor. 6.60.
 W W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego“: w Poznaniu kwartalnie 3,60 mk., z przesyłką pocztową 4,30 mk.

N-ry 2 i 3 „Bluszczu“ nabywamy, płacąc po 20 kop. za egzemplarz.

Kaz. Przerwa - Tetmajer.

GRA FAL.

Powieść w związku z „Królem Andrzejem“.

52)

Tłum socjalistów z czerwonymi kokardami na klapach i czerwonymi wstążkami na kapeluszach pędził przed sobą tłustego księdza w szarfię, niebijąc go, tylko tocząc przed sobą, jak kukłę.

Szafrąński zatarł ręce.

Ksiądz toczony z rąk do rąk machał rękami i krzyczał.

— Bąk! Bąk! — krzyknął Szafrąński z nad ziemi otwarłszy okno. — Na szarfę go! Będzie brzęczał!

— Bąk! Bąk! — huknął tłum wśród śmiechu. — Na szarfę go!

Zerwano szarfę z księdza.

— Zakreć go! Puścić! Niech brzęczy! — komenderował Szafrąński.

Owinięto księdza szarfą i kilkanaście rąk „puściło“ go z niej, jak bąka dla dzieci. Dziki tłum ryczał ze śmiechu.

Lecz ksiądz wydarł się, skoczył w bramę i widząc najbliższe otwarte drzwi od suterenu Szafrąńskiego, wpadł w nie i zbiegł na dół po schodkach.

Popędzono za nim.

W pełnym słońcu padającym na ścianę przez otwarte okno jaśniał obraz Chrystusa.

Napastnicy ujrzeni go i stanęli przed nim. Popatrzone na obraz i na Szafrąńskiego.

Był to tłum obcy Szafrąnskiemu, nieznane twarze z różnych dzielnic miasta.

— A to co? — zapytał jakiś osmolony drab, widocznie z kuźni, wskazując na wizerunek.

Szafrąński obraził się i krzyknął:

— Widzisz, capie, że Jezus!

— Watykański? — zapytał drab, niezwracając uwagi na przezwisko.

Szafrąński obraził się jeszcze więcej.

— Ty mnie będziesz egzaminował?! Ty mnie?! — rzekł przystępując groźnie ku drabowi.

— A cóż? Jak nie watykański, to nasz! Ale obraz?

Wtem krzyknęła jakaś kobieta z czerwona kokardą na głowie z tłumu:

— Bał się, bo ma obraz! Wierzy! Dlatego na księdza z okna szczuł, żebyśmy go minęli! Ot co!

— Milez, psiakrew, putta maledetta! — wrzasnął Szafrąński w furii. — Ja bym się miał kryć?! Ja?! Ja?!

— A cóżes to ty, stara bestyo! — odpowiedziała mu kobieta.

— Ja — zaczął Szafrąński.

Ale z tłumu wyskoczył młody student i chwycił za ramię, aby obraz zedrzeć ze ściany.

Szafrąński rzucił się ku niemu, odepchnął i wrzasnął:

— Precz! Wazar! synie!

— Watykański, czy nie watykański — krzyknął drab z kuźni — na dół z tęczą!

I chciał złapać za obraz.

Ale Szafrąński stanął między nim a obrazem z nożem od salami w ręku z twarzą tak strasznie groźną, iż choć był mały i stary, a osmolony drab duży i młody i z pałką w ręku, osadził go w miejscu.

— Bronisz, psia wiaro! — krzyknął drab.

— Bronię, bo moje! — odpowiedział Szafrąński.

— Watykański?!

— Nie tobie się będę sprawiał, jakim, capie z Pestum! Lepszym od ciebie! Precz ztąd!

— Z katolikami trzyma! — krzyknęła kobieta.

Szafrąński stał naprzeciw tłumowi z ukosa i spojrzął na obraz. Jasne światło padało na głowę Chrystusa w ubogiej izbie wiszącej, a oczy Jego patrzyły spokojne i zaświatowe, zdając się mówić:

— Byłem ci przyjacielem wiernym. W każdej godzinie i w każdym strapieniu. Ja będę przy śmierci twojej..

— Na dół z tęczą! Na dół z tęczą! — krzyknęły niecierpliwe głosy. — Bąka puszczać! Bąka puszczać!

Ksiądz drżał wtulony w kącie.

Student, osmolony drab i kobieta z czerwoną kokardą rzucili się ku Szafranskiemu i obrazowi; kobieta chwyciła Szafranskiemu za włosy, drab zdarł obraz ze ściany i rzucił na ziemię, a student wskoczył nań nogami. Z pod podeszew jego i obcasów oczy Chrystusa rzekły do Szafranskiemu:

— Ja będę przy śmierci twojej...

Naówczas Szafranski miotnął się jak lew ryczący. Kopnął damę z czerwoną kokardą w podolek, aż przysiadła i z nożem natarł na studenta, ale w tej chwili, trącony z rozmachu pałą przez osmolonego draba w skroń zwałił się na podłogę. Krew bluznęła z pod kości i twarz Szafranskiemu pobieliała śmiertelnie.

Tłum rozstąpił się wobec krwi i śmierci nadlatującej.

— Księdza! Księdza! — odezwały się głosy w tłumie. — Gdzie ksiądz?!

— Tu! Tu!

Wyciągnięto księdza z kąta; drżał, ale powiódł tryumfującymi oczami po obecnych.

Zbliżył się ku Szafranskiemu i nachylił się nad nim.

Ale Szafranski zrobił odpychający ruch palcami i wyszeptał siląc się:

— Jam zwałił Katedrę Świętego Piotra..

— Maledetto! Przeklęty! — syknął ksiądz, cofając się jak od żmii.

Szafranski spojrział nań wyniośle i pod oczyma Chrystusa leżąc głową, skonał.

(DCN.)



Zapolska w stosunku do sprawy kobiet

We wstępie do Kaśki Karyatydy, kreśląc obraz ciemnej, nieświadomej, sponiewieranej dziewczyny, która — ciśnięta na bezdroża — nie umie zaczerpnąć sama w sobie sił do walki z pokusami, — mówi Zapolska, że „*pisze, co się jej w serce wgryzie nędzą*“...

Wyznanie to odkrywa źródło twórczości autorki.

Patrzy w życie: w brudno-szarą kałużę kompromisów Żabusi lub Dulskiej, w trzęsawisko moralnej zarazy Rastawieckich, Steier-

marktów, Smolkiewiczów; aż naraz targnie ją krzyk ranionego tworu ludzkiego.

Okaleczyła go przemoc, spycha w cuchnącą otchłań krzywda, odbiera siły do walki milion zasadzek, mur szponów drapieżnych, przyczajonych zewsząd.

I niema ratunku, póki osią świata kompromis, a nad kompromisem — sankcyja odwiecznych ustrojów...

W bagno kompromisów, w barykady przyżytków wali tęgą pięścią Zapolska, idąc za głosem skrzywdzonych.

Nie kieruje ją fanatyzm sekciarski, we współzuciu swem nie zna uprzywilejowania; krzywda jeden ma głos. Czy uderzy zgiętym karkiem Żebrowskich, tych mułów rodziny których jedynym celem zdobywać i dawać pieniądze; czy szarpnie dramatem Wodzireja, obitego szpicrutą kochanki dla uratowania t. zw. „*jej honoru*“; czy potrąci miłosnym głodem nigdy nie nasyconych Ahaswerów; czy wstrząśnie do głębi tresurą duszy Siekluckich: echo jej bije taranem w podłoże nędz społecznych, na dnie których wyrosła męka ludzka.

Bo niema krzywd, za które by nie odpowiadały urządzenia i sztandary etyczne ogółu.

Jeżeli nad skargą Żebrowskich i Wodzirejów góruje krzyk Kaśki Karyatydy lub prostytutki Frani, od którego — zdaje się — drży ziemia w posadach, — to dowód, że niedola ich jest najcięższą, najdokuczliwszą raną w organizmie społecznym.

Życie codzienne reguluje mniej więcej stosunek mężczyzny do kobiety: za Tuškę, tyranizującą Żebrowskiego, mści się Ahaswer, tyranizujący Elkę; za drapieżne pieścizoty egoizm i okrucieństwo pięknej pani Maleniowej odpłaca się samolubnem okrucieństwem kuzynce Teci Wodzirej. Bez tej smutnej równowagi padłoby rusztowanie dni powszednich, oparte na działaniu i oddziaływaniu instynktów.

Ale życie to przyczajony wulkan: chwila spokoju i — nagły wybuch brutalnej zwierzęcości w człowieku.

Zwierzę u Zapolskiej ma w sobie głównie męczyzna. Jest demon ukraiński, Małaszka, w której przyczaiła się drapieżna, zmysłowa tygrysyca; ale i nad nią góruje brutalna przemoc mężka.

Jak bezradną Kaškę oddaje w ręce policyi stróż Jan, ojciec jej dziecka, żeby uwolnić się od niej; tak z bezczelnym cynizmem, prosto z objęć swoich skazuje Małaszkę na więzienie kochanek jej, hrabia Jerzy.

Niema praw, niema nakazów i hasań, któreby zniosły przywileje Janów, Jerzych, Karolów...

Żebrowskiemu wolno dla osłody zawiązać romans z młodą szwaczką; dodaje to nawet pewnego uroku sylwetce suchego biuralisty. Ahaswer może polować bezkarnie na ofiary miłosnych głodów swoich: nie istnieją bicze opinii, któreby im zabroniły tego. A gdy wynikiem krzywda Elek, Franek, Kasiek, — rusztowanie życia nie drgnie, choćby od podstaw do szczytu przeszył je głos ofiar...

W prawo podwójnej moralności, ten mur przyżytków, najporoczywiej i najgłośniej walą młoty Zapolskiej.

Nie przyjdą ciche dni wyzwolenia, dopóki Ahaswer, jak pies gończy, ścigać będzie ofiarę swoją, nie pamiętając rysów jej twarzy nazajutrz po uniesieniu miłosnem — woła autorka w Kaśce Karyatydzie.

„Kobieta broni samej siebie, swego „ja“, wszystkiego, co jest jeszcze jej własnością. Gdy ulegnie, — za chwilę rozkoszy, która jak błędny ogień, zaświeci w jej życiu, idzie na Golgotę. W męce i opuszczeniu rodzi dzieci swoje, rzuca je po różstajnych drogach, jak szczenięta, lub — nie mogąc znaleźć środków do życia, — morduje własnymi rękami“...

W dziejach Kaśki Karyatydy wybiera Zapolska najgrubsze, najjaskrawsze efekty, dla przekonania, że „w nieszczęściu kobieta nie ma obrońców“.

Jeżeli znajdzie się głupia, miękka dusza altruisty, który, jak doktor Adam w Ptaku rajskim, chce wyrwać z bagna kwiat czarodziejski, wyrosły na trzęsawisku, to jednak i ona, wahając się w posłannictwie swoim i walcząc — przez atawizm wieków — z urażoną dumą mężką, — cofa się w końcu, przebacza zbyt późno i cud, stworzony na mokradłach, ginie, spychany w kałużę coraz głębiej!...

Przez usta Heglowej w Fin-de-sieclistece mówi Zapolska, że „nie uznaje równouprawnienia kobiet w parlamencie“... Nie jest i nie była nigdy feministką. Jeżeli więc mimo to w każdej niemal powieści zatrzymuje się nad jakąś krzywdą kobiety i z odwagą nieustraszonej bojownicy wskazuje zbrodnie społeczeństwa względem niej, — to musimy wierzyć, że kieruje ją nie ślepe, zaciekle doktrynerstwo, lecz wrażliwość na bóle najdotkliwsze, na Kalwaryę męki bez wyjścia, na pohańbienie, zdeptanie, sponiewieranie praw ludzkich bez zastrzeżeń; musimy wierzyć, że pisze naprawdę to, co „najdokuczliwszą nędzą wgryzło się w jej serce“.

Kobieta dla Zapolskiej, „nawet najniżej postawiona, przychodzi na świat cnotliwa. Gdy cześć swą zatracą, rzucając się w objęcia mężczyzny, uczuwa żal wielki, choćby nawet ten upadek został spełniony w najnormalniejszych warunkach, t. j. usankcyonowany małżeństwem. Męczyzna z chwilą, gdy posiadał kobietę, tryumfuje i zapomina o walce, która poprzedziła chwilę upadku. Kobieta — po upadku — wyczerpana walką, przywiązuje się do mężczyzny jakąś zwierzęcą, bezwzględna miłością, jak do pana, władcy wszystkich stworzeń a jej w szczególności“...

Z tych sądów, zawartych w Kaśce Karyatydzie, możemy wnosić, że dusze kobiet Zapolskiej, jak czyste karty papieru, brudzi i depece zmysłowa żądza mężczyzny.

Ginie pod zatrutym tehem męża swego i kochanków Fin-de-sieclistka, która w innych warunkach mogłaby być najlepszą żoną i ma-

tką; spycha w bagno cudnego ptaka rajskiego stary wyrafinowany lubieżnik; pędzi w przepaść histeryi Staśkę z Przedpiekla młody nauczyciel muzyki, gubi Elkę Karol, Kaśkę stróż Jan; rzucają towar kobiecy na rynki uliczne „subtelni“ Krajewscy i „Trzeźwo myślący“ Konitze, którzy w pogoni za „zdrowem, żywym mięsem“ wymieniają kochanki jak buty, w myśl, że — co niewygodne dla jednych, może nie cisnąć drugich...

Jezeli za brutalność mężczyzn odpowiada społeczeństwo, które nie umie dźwignąć się na wyżyny jednej moralności dla wszystkich, nie umie wyjść z kompromisów opinii stosującej do każdego czynu dwie miary, nie umie nałożyć wędzideł na rozpustę i wyuzdanie Ahaswerów, — to względem kobiety odpowiedzialność ta jest podwójna: po pierwsze — za złe wychowanie mężczyzny, który przywyka do kultu nie duszy, lecz ciała kobiety; po drugie — za krzyżące błędy w wychowaniu jej samej.

Dusze i ciała dziewczęce paczy wszystko, począwszy od rodziny, otoczenia, fałszów opinii, dwulicowości etyki, kończąc na szkole I niema chyba ani jednej powieści Zapolskiej, w której grzechy te nie padałyby klątwą na sumienie ogółu.

Przed dwudziestu laty „matkom dla przestrogi“ ukazało się Przedpiekle, jeden protest namiętny przeciw torturom dziecka w ciasnych, dusznych murach pensyjnych, gdzie — po sypialniach — na wzór szpitali — wznoszą się smutne, więzienne prawie łóżka, a w klasach przed czarnymi, jak trumny pulpitemi, sztywno i prosto siedzieć muszą drobne figurki dziewczęce z drętwiąjącymi w powietrzu na wysokich ławkach nóżkami i koszlawiającym się — wbrew nakazom — szkieletem, z przyczajoną nad każdą z nich blednicą, dla której ratunek jedyny — pigułki Blancard'a.

Już wtedy głośno, z właściwą sobie bezwzględnością, wołała Zapolska o szkoły za miastem, duże, widne, dobrze przewietrzane, w otoczeniu pól i lasów; żądała gimnastyki, kąpieli, otwierania oczu dziewcząt na cuda natury, strzeżenia ich od niedorzecznych bajek. Przeciwniczka koedukacji, radziła jaknajdalej trzymać dziewczęta od chłopców i tem tylko nakazy jej różnią się od metod wychowawczych najnowszych.

Pensye typu p. Gierczykiewiczowej z Przedpiekla znikają powoli z widowni. Klasy i sypialnie tracą koszarowy wygląd; prawidła higieny nabierają mocy, ale — zostaje sto innych tortur, dławiących ciało i duszę kleszczami.

Dziś, jak wtedy, stopy książek oszalałymi, ogłupiają mózgi dziecięce; dziś, jak wtedy, szarpie umysł rozterka: nieporozumienia między domem a szkołą, nieporozumienia w domu, dusze rodziców — zamknięte Sezamy, których hasło znają wszyscy, prócz tych, co z rąk ojca i matki przyjmują pokarm codzienny...

Salon państwa Żebrowskich na Wareckiej to typowa tresura serc i umysłów dziecięcych. Gdy chłopcy w życiu zewnętrznym urabiają jaźń swoją, siostra ich gaie się i łamie, jak kwiat podcięty. Głupia matka wcis-

ka w gorset jej ciało, a w pancierz konwenansów poetyczną, rozmarzoną duszyczkę. Jedna długa pomyłka, a z takich pomyłek składa się życie wszystkich prawie kobiet Zapolskiej.

Każda z nich wchodzi w świat nieświadomiona, nieprzygotowana do obowiązków, które ją czekają; każda z nich, nauczywszę się zaledwie grać na fortepianie i, mówić po francusku, — musi znosić jak bohaterka „Pamiętników młodej mężatki“ przyeinki męża, że „ma w domu lalkę“.

Puste wychowanie urabia je, mimo szlachetnego duchowego podkładu, albo na ptasie mózgi i bezmyślne salonowe bawidełka, goniące za tanią rozrywką, albo na brnące w kałużach orgii zmysłowych niewolnice własnych namiętności, tem nieszczęśliwsze, ile dotkliwiej czują swój upadek.

Przesuwają się przed nami galerye Ptaków rajskich, Fin-de-sieclistek, Stasięk z Przedpiekla; przesuwa się typowy okaz cichej kurki domowej: Żońcia z Koteczka, pędząca życie „między imbrykiem melissy a wiązką rzodkiewki“, wpatrzona w majestat ufryzowanego bóstwa swego, z podmalowanymi oczami, które traci posag jej na damy z półświatka.

Każda z nich wstępuje w życie czysta; każdej „zrywa coś z białych osłon duszy“ wychowanie, później mąż i pokusy świata, a w końcu kochanek.

Bezbronną, niezaradną, słabą, embrjonem człowieka jest zarówno Ptak rajski — baronówna, jak „tłomok“ Kaśka lub prostytutka Frania. Z taką samą pokorą mówi do kochanka: „Sługą twoją jestem!“... Elka ze sfer miejskiej inteligencji, z jaką całuje w czoło Kuniewiczza arystokratyczna Janka, posłuszna kapryśnym, niezem nieusprawiedliwionym jego nakazom.

Wszystkie one mają coś z „Oslicy-Honorki“, która przyszła aresztować ślub ojca swego dziecka, tymczasem — na widok pana młodego we fraku ze złotymi spinkami u koszuli, wielkimi, jak złotówka, blednie, przymyka oczy i, wsunawszy się za filar uderza w płacz cichy. Większość ich, mimo skrzydeł kapłanek, ginie w miłosnem znikczemieniu.

I możnaby wraz ze szlachcicem Podolskim z powieści „Janka“ plunąć: „kobieta to kanalja... kto się z nią liczy?“ — gdyby nie aureola hartu i męstwa Heglowej z Fin-de-sieclistki, Julii z Ahaswera, Anny z Tresowanych dusz, Maryi z Żabusy, Janki, wyzwolonej przaz ogień miłości i nędzy, cichej a silnej Mazi o umyśle logicznym, jasnym (Zaszumi las), takiej wielkiej i pięknej w swem poświęceniu, w pracy ofiarnej bez ambicyi, bez próżności, „bez chęci rozkazywania, panowania nad innymi“; wreszcie Anny Zagrodzkiej ze studium powieściowego „A gdy w głąb duszy wnikiemy“, tej łamiącej kompromis indywidualistki, tej sługi piękna, która idzie sama przez życie, bo treść jego widzi nie w zjawie zewnętrznej, jak wszyscy, lecz w pełnych tajemnic otchłaniach ducha.

— Czem jesteś? — pyta każdego spotkanego człowieka. — Z jakich bólów twoja dusza wyrosła? Z czego się składa godzina twego smutku? Czy łzy twoje mają barwę piękną, przez które przeszedłeś?

Odpowiedź ginie najczęściej w zgrzytach walki o strzęp sławy, o szczebel karyery, do której rwą się wszyscy i to na duszę jej pada cieniem nieukojonej zgrzyoty...

(DN.)

Cecylja Walewska.



Z życia wsi...



(Dokończenie).

Trzecia z tej czwórki spotyka się na jarmarku ze swą synową, spodziewającą się dziecka. Gdy już załatwiły wszystkie sprawy, swiekra zaprasza synową, syna i jeszcze parę osób na poczęstunek. Synowa wygłodniała spożywa nadmierną ilość nieświeżej kielbasy i w parę godzin rozchorowuje się na ciężką niestrawność.

Następuje przedwczesny poród — młoda kobieta umiera.

„Zadała jej szelma“ — ściskają złowrogo pięści: syn własny rzekomej czarownicy i rodzina zmarłej. — „Nikomiu nie zaszkoziło, bo tylko na nią złość miała i jej talerz urzeka“...

I biedna ofiara kryć się musi przez kilka tygodni, jak złoczyńca, po sąsiedkach, strychach, by bronić zagrożonego życia.

Wszystkie drobne i duże niepowodzenia gospodarskie, mające swoje źródło w niedbałstwie, lenistwie, nieświadomości, stale przypisywane bywają urokom i czarom, czyli sile nadprzyrodzonej, przeciw której „biedny człowiek nic nie poradzi“.

Najpierwotniejsze, przez wieśniaków wszystkich krajów cywilizowanych, już znane i wprowadzone w życie codzienne, nakazy higieny nie zdołały dotąd utworować sobie drogi do umysłów tutejszych mieszkańców.

Zabiegi około utrzymania zdrowia są poczwarną karykaturą, cofającą obserwatora o tysiąc lat wstecz.

Kilka przykładów:

10-cioletnia dziewczyna ma ciężkie zapalenie oczu.

— Musicie udać się zaraz do lekarza — radzę.

— Eh, co tu dochtór pomoże, proszę pani. To kołtun tak bonuje w niej. Trza go zapuścić, to od oczów odciągnie.

Nie pomogły przekonywania; długie, gęste włosy dziewczęcia spiętrzyły się w obrzydliwy kołtun, okryty szczelnie, mimo gorąca, ciepłą, kamelerową chustką.

Po paru tygodniach mirjady robactwa zaczynają roić się na skórze.

— Aby się nie rozlało po chałupie — matka obwiązuje jej głowę mocno perkalową chustką, a na tej dopiero kamelerową.

Dziewczynka po nocach zasadza palce pod ową kopułę i za każdym razem wyjmuje całe okrwawione.

Skóra pokrywa się strasznymi strupami, w której nurtuje potworne robactwo.

Co czynić?

Kumoszki wnet „poredziły”. Przyrządowano wyciąg z machorki i gorącym zalewano rany biednej męczennicy.

— Obetnijcie kołtun, kobieto. Ulitujcie się męce własnego dziecka... — mówię.

— Nie można, bo cślepnie ze wszystkim.

Gdy dziewczynkę widziała raz ostatni, był to już tylko szkielet człowieka, ze słabo tlejącą iskrą życia.

Młoda kobieta choruje na reumatyzm czy może ischias. Przyczyny: w dole wśród mokradel postawiona chata, a w niej podłoga gliniana i ociekające wodą ściany.

Prócz tego, na drugi dzień po porożu, chora już wyciągała kartofle z dołu w dzień dżdżysty i zimny.

— Co wam jest? — pytam.

— Kołtun powykręcał mi ręce i bezgwałt do głowy się napiera. Trza będzie zapuścić.

I tak uczyniła, ponieważ lekarstwo wzięte ze dworu od przybyłego lekarza nie usunęło od razu choroby.

„Zapuszczenie kołtuna”, to uniwersalne lekarstwo na bóle głowy, oczu i łamanie w kościach.

Inne choroby przeważnie leczą się bańkami ciętymi, lub puszczeniem krwi.

Pewien gospodarz opowiada:

— Żeby tak zebrać razem wszystką krew co mi ją wytoczył mój kum (znachor) bańkami, toby chyba sadzawka się zrobiła.

Własnymi oczyma patrzyłam na płynącą swobodnie i napelniającą sporą miskę krew z ręki chorego, którego odwiedziłam.

— O! mózgu odciaśnie — tłumaczył mi pseudo-felczer.

A był to wypadek zastarzałego kataru kiszek czy żołądka.

Kiedyindziej poszłam odwiedzić dziecko komornicy. Przy „worku” pełnym brudnej pościeli stoi babka dziecka.

— Dyfterytus — objaśnia.

Obejrzałam gardło chorej.

— Nie! — mówię stanowczo.

— Kiedy proszę pani, moja dziewczyna na takiego samego dyfterytusa chorowała.

— I coście robili?

— Zawołaliśmy felczera. Jak piekielnym kamieniem wysmarował gardło, to aż do brzucha dzieciakowi doszło.

— Czy wyzdrowiała?

— Gdzie zaś. Pomerła. Tego samego wieczora.

— Więc jakże pomogło, skoro umarła?

— A cóż, proszę pani, czy się miał z Panem Bogiem drzeć? Wola Boska była.

Wszedł „felczer”, właściwie uzurpator tego tytułu, gdyż wiedzę lekarską zawdzięcza tylko stanowisku niegdyś posługacza szpitalnego.

Nie obejrzawszy dziecka zawyrokował:

— Krup. Trzeba traheotomię natychmiast zrobić. Rozetnie się, kłęb flegmy wyjmie, potem zaszyje i skończona.

— Któż ma dokonać tej operacji skoro doktora niema? — pytam zdumiona.

— Kto? A ja od czego?

Oczywiście wytłumaczyłam mu surowo, że z tych zakusów na życie dziecka nie będzie. Ale w iluż wypadkach najgrubsza ignorancja tego człowieka zgubiła chorego.

W opisywanej tu okolicy pomoc lekarską jest niezmiernie utrudniona. Najbliższe miasteczka leżą za Wisłą. Nie łączy z niemi ani most, ani prom, tylko łódź przewozowa prywatna. W czasie roztopów wiosennych i przed zimą, gdy lód za słaby, komunikacja ul. ga przerwie parutygodniowej niekiedy.

Ileż młodych matek umiera z powodu nieobecności lekarza podczas porodu.

Zaofiarowanie z naszej strony domu i 150 rb. rocznej pensji dla stałego lekarza, oraz propozycja, aby gospodarze zadeklarowali jeszcze 150 rb. rocznie dopłaty — zostały odrzucone, jakkolwiek składka wynosiłaby za ledwie kilkadziesiąt kopiejek z każdej chaty.

Za to poszczególna wizyta lekarza z za Wisły, prócz 5 rb. honorarium, kosztuje cały dzień czasu, potrzeba o kilka lub kilkanaście wiorst piaszczystej drogi posyłać konie do przewozu, odwozić lekarza i t. p.

Hygiena domowa rozpaczliwie się przedstawia.

Bieliznę po zmarłym suchotniku drze się na kawałki, które służą do owijania masła na sprzedaż.

W jednej z wiosek okolicznych w ciągu lat pięciu, wymarła na suchoty rodzina złożona z pięciorga dzieci i rodziców. Umarła najpierw szesnastoletnia dziewczyna, a w kilka dni potem, osmnastoletnia, która z chorą sypiała i jej odzienie nosiła.

Zaznaczam tu — że w roku ubiegłym w „Nowej Gazecie” był opisany analogiczny zupełnie fakt. Wymarła również cała rodzina w Łomżyńskim, złożona z pięciorga dzieci dorosłych i ojca w tym samym, co wspomniane wyżej, przeciągu czasu. Wszyscy używali odzienia i pościeli wspólnej. Ostatni umarł ojciec, 75-letni starzec, co wyłącza przypuszczenie dziedziczności. Takie wypadki jak sypianie dzieci z ojcem lub matką suchotnikami aż do zgonu tych ostatnich, są na porządku dziennym.

Siedmioletnia dziewczynka zostawiona w izbie bez dozoru zapaliła na sobie sukienkę i poparzyła się strasznie.

Matka leczyła rany okładami z siadłego mleka. Było to w porze żniw, czyli najsilniejszych upałów. Mleko natychmiast po przyłożeniu zamieniało się w twaróg, nigdy nie zmywany. Wyniesiono nieszczęsną męczennicę do stodoły, gdyż od ran szedł trut jak od rozkładającego się trupa. Tam leżała kilka tygodni samotna, kłasnana przez owady, rojuje obsiadające rany, pełne ropy.

A teraz niechaj nerwowe czytelniczki przygotowują środki przeciw mdłościom. Zamierzam opowiedzieć sposoby leczenia choroby zwanej „Różą”.

Według pojęć tutejszych „Róża” leczy się „wstrętem”, „odwstrętnieniem”. Dlatego celu w oczach chorego wyczesuje się głowa którego z domowników i zagniata z ciastem nieczystości, które nieszczęśliwie spoży-

wa. Zamiast tego zmuszają chorego do spożywania innych okropnych rzeczy.

Obrazek z życia buszmenów lub Nowozelandszyków, nieprawdaż?

Jako ilustrację do powyższych opisów zamieszczam jeszcze jeden fakt świeży.

Przerwano mi pisanie oznajmieniem o przyjeździe kobiety chorej dość dawno na reumatyzm.

— Skąd się wzięła ta zaogniona rana na nodze? — pytam.

— A to proszę pani poszłam do znachora, żeby mi krew puścił. Przeciął żyłę, ale się tak załękła że krew wcale nie poszła. Więc on wziął drut i wiercił na wszystkie strony w tym miejscu gdzie rozerznął. Małom nie mgłała. Zaraz potem noga opuchła straszecznie, że po całych nocach krzyczę z bólu.

Pielęgnowanie niemowląt dopomina się też gwałtownie miejsca w dziejach kultury ludu.

Krwawiącą ranę noworodka obwiązują się brudnym, z kolorowego fartucha lub spódnicy oddartym bandażem.

W kawałek cuchnącej szmaty zawija się nieco cukru, lub kulkę z przeżutej ze śliną i wyplutej bułki i wsuwa w usteczka dziecka.

O ile matka jest w domu, we dnie i po całych nocach niemowlę pierś ssie nigdy nie obmywaną, jak nigdy nie jest obmywane wewnątrz jamy ustnej ssącego dziecka.

Wynikiem są nieustanne wymioty oraz aftry, te ostatnie smaruje się atramentem.

Brak systematycznych odstępów czasu przy karmieniu sprowadza śmiertelność niemowląt wskutek zaburzeń trawienia. A owo „przemierzanie” gdy niemowlę się „usunie!”

Przyniesiono mi raz, z prośbą o ratunek, dziecko, któremu t. zw. babka z taką gorliwością przemierzała rzekome „usunięcie”, iż wywichnęła mu łopatkę.

Pewna matka, idąc w pole do roboty, wkładała niemowlę w opalkę od kartofli. Potym mocno zasznurowywała poduszkę na wierzchu i wsuwała opalkę pod niskie „werko”, napoiwszy poprzednio niemowlę odwarem z zielonej makówki.

Oczywiście, wywdzięczając się za tyle umiejętne zabiegi, dziecię zmarło po czterech miesiącach.

„Ciemienucha” grubości niejednokrotnie małego palca, pielęgnuje się troskliwie i jest nietykana. Wszelkie rady posmarowania lanoliną i szesania tej obrzydliwości, rozbijają się o zakorzeniony przesąd.

Choroby dziecięce leczą się przeważnie przelewaniem jajka nad głową dziecka by urok odczynić.

Jako przejaw podmuchu kultury (opacznie pojętej), zaznaczyć należy obuwanie niemowląt od trzeciego miesiąca życia w buciki, skrojone przez małomiasteczkowego partacza, nie mającego pojęcia o anatomii stopy ludzkiej i deformującego ją z tej przyczyny w zaraniu.

Do przejawów owej pseudo-kultury należy również strój kobiet. W kościele za procesją obłoki kurzu wzbijają się z trenów lokciowych wieśniaczek — *chantecler'y* zdobią pióra sięgające do kolan nieledwie.

Są miejscowości, że fabryczne wyroby — ordynarne wełniane materye, wyrabiane ze starych gałganów, doszczętnie wyrugocwały poczciwe, na krosnach w domu tkane wełniaki, niezrównanej wytrzymałości.

Jedna taka z domowej wełny uprzedziona spódnica, utkana na postawie ze lnu lub konopi, służyła nieraz trzem pokoleniom: babce, matce i wnuczce z kolei. Fałszywy wstyd, rozleniwienie, wykresliły z prac domowych tkactwo.

Znam okolice, że lnu prawie nie sieją, ani konopi, za to kwitnie kilkanaście sklepików, zaopatrujących mieszkańców w gotową bieliznę i odzież — oczywiście tandetę ostatniego rzędu.

Niewesoły naszkicowałam obraz. Odwróćmy teraz płótno, może uda nam się namalować jaśniejszy.

Oto — przypuśćmy w gminie mieszka kilkanaście choćby wychowanek szkoły włościańskiej. Ujmują one ster życia w dzielne, pracowite dłonie.

Wyswobodzonym z mroków, jasnym swym umysłem obejmują one sprawy i zjawiska codziennego bytu.

Znikają wstrętne przesady — światło przenika do dusz i serc. Powstają ochronki, kobiety zaznajamiają się z pielęgniarstwem. Przemysł tkacki wskrzeszony — warczą kółka prząsaniczek, motających cieniutką nić — udziałowcy zakładają spółkową mleczarnię, wedle najnowszych udoskonaleń. W białych izbach jaśniejących wzorową czystością zawieszono portrety wieszczów narodu, a w bibliotece wspólnymi siłami założonej, leżą na półkach ich dzieła, obok — kilka celniejszych wydawnictw peryodycznych. Wiekowa skorupa pleśni pękła — wyjrzała toń czysta i popłynęło życie wartkim, bystrym korytem.

Ufajmy przyszłości — szkołom dla włościan, usiłowaniam kół ziemianek i zacnym ludziom z wytrwaniem światło siejącym.

Wspierajmy te cele każdym, zbywającym od istotnych potrzeb groszem, zamiast obracać go na martwe cele nie mające żadnego związku z naglącymi potrzebami naszego społeczeństwa.

Wanda Grot-Bęczkowska.



Ze starych roczników.



W każdym niemal wiejskim dworze, czy to na dolnej półce biblioteki, czy na szafie w kącie, czy wreszcie na strychu leżą sobie w kurzu i niepamięci oprawne, wielkie tomy dawnych roczników czasopism: „Tygodnika Ilustrowanego“, „Kłósów“, „Niwy“.

Nikt nie dba o nie, czasem dla ilustracyi — przeglądają je małe dzieci, paluszkami znacząc ślady swego zachwyty — czasem panna służąca zimowym wieczorem szuka w wielkiej księdze interesującego romansu — zresztą należą te zielonawe płócienne tomy do martwego inwentarza domowego: zawsze miło

jakoś na nie spojrzeć, A czasem byłoby do brze zajrzeć do nich — do środka.

Tam wypisana współczesna historia kultury naszej — niezmiernie interesujące z niedawnych czasów, rewolucye idei, prądów literackich — pierwsze kroki wielkich dziś ludzi — pierwsze przejawy panujących obecnie zapatrywań.

Ogromnie ciekawe jest porównywanie — tych dawnych roczników — dla oceny poziomu umysłowego społeczeństwa, i jego przodowników z danej chwili — w ten sposób można sobie zdać sprawę doskonale z postępów publicystyki, z postępu myśli krytycznej i rozwoju wymagań czytelników.

Przed kilku laty, bawiąc w stronach rodzinnych odkryłam na górze przy pokojach gościnnych skład starych tygodników, ozdobionych obficie karykaturami Kostrzewskiego, drzeworytami scen z chwili bieżącej, z pracami Zacharjasiewicza, Kraszewskiego, z wielką przewagą „mowy wiązanej“ różnych pseudonimów — z poezjami Deotymy.

W jednej z tych ksiąg spotkałam pierwszą, młodocianą pracę Elizy Orzeszkowej; jej data: Czerwiec 1866 roku dała powód do roku jubileuszowego, a gorące, śmiałe słowa wstępu to pierwszy atak do sumienia publicznego, to hasło, które dziś zmieniło w tak znacznym stopniu stosunki, to pierwsze ziarno rzucone w chwastem jeszcze pokrytą glebę.

W dobie obecnej — nie od rzeczy będzie może przypomnieć, jak wyglądało to pierwsze wystąpienie literackie znakomitej autorki.

Obrazek z lat głodowych

napisała

Eliza Orzeszko.



Posłuchajcie piękni panowie i panie — opowiem Wam króciuchną powiastkę.

Z błyszczących wyżyn waszych, czy spojrzeliście kiedykolwiek w dół, nizko, w głąb owych warstw społeczności, które ciemne, nędzne, z piękna odarte pracują ciężko?

Czyście widzieli jakie cierpienia nurtują na tych dnach głębokich, jakie męki rozdierają łono tej mętnej dla mas fali żywych ludzi?...

Wyście myśleli zawsze, o piękni i piękne, że w tej grubej i szorstkiej warstwie samkał tylko i bezrozum; pocóż więc w nią zaglądać?

Tak, zapewne, jeżeli nie chcecie zasepić lica, nie zbliżajcie się do ludu, pójdźcie raczej bawić się i pisać przy blasku światła jarzących, wśród woni salonów.

Ale jeżeli między wami są serca miłujące nie lśniący pozór, lecz grunt człowieczy, jeżeli są umysłu ciekawe zbadania bied społeczności, niech zajrzą w istnienie mozolne, bezbarwne, rzadko pojęte dobrze przez szczęśliwszych, często spotwarzane, oplwane.

Tam znajdą serca dramat żywy i cel ukochania, a umysły naukę i zachętę do dąże-

nia ku postępowi takiemu, który zbliży szczęście nie jednostkom, nie kartom, lecz wielkiemu ogółowi.

Moja opowieść króciuchną będzie. Przedstawia ona jeden z milion razy powtarzających się na ziemi dramatów, które odegrane w biednej i ciemnej warstwie ludzkości giną bez śladu. Do mnie — doszła wieść o nim, i z podziwem się zadumałam nad tem, iż podobne dramaty dotąd, na Bożym świecie istnieją.

*

*

*

Dziwnie smutne były lata 1854, 5-ty i 6-ty. Głód — straszny głód, piekielnymi mękami rozdzierał piersi ludu i tysiące tych, których pracy kraj chleb powszedni i niepowszednie zabytki zawdzięczał, konały śmiercią głodową.

Jeden okrzyk bolesny, ciężki rozpaczny zajączał z piersi ludu: chleba! chleba! obił się o niebo i rozlecił po ziemi. Niebo silniejsze skwary latem i rzęsiście deszcze wiosną zesłało — zboże tonęło w dolinach, usychało po wzgórzach; szczęśliwsi bracia bawili się wesoło, a lud, wydobywając siły ostatnie wołał: chleba, chleba!

*

*

*

Tu następuje opowiadanie — o dworze białym, z pięknym ogrodem, z wielką ilością służby, gdzie młodą żonę dziedzic i pan otcza zbytkiem, wesołością życia towarzyskiego; bezmyślnie, świetnie, lekko — bawią się państwo — a o miedzę, w pańszczyźnianej wiosce — przez ekonomę uciskanej — głód — straszny, wyjący głód.

Na tem tle naiwna idylla Hanki i Wasylka, dwojga pastuszków — zakończona tragicznym zgonem obojga: biedna Hanka wycieńczona głodem zachwiała się na kładce, położonej wpoprzek rzeki — i znalazła śmierć przypadkową w nurtach: Wasylko z desperacyi i głodu skończył, włócząc się gdzieś po błoni.

Zgromadzeni w salonie goście modną francuzczyzną — przechodzą nad tym faktem z prawdziwego zdarzenia, do porządku dziennego, państwo na zimę wyjeżdżają zagranicę — a we wsi głód czyni dalsze spustoszenia.

Środowisko wiejskie, malowane konwencjonalnie, w stylu wówczas panującym, gdzie jeszcze jakby Wiesława Brodzińskiego tradycye klóca się z tragicznym motywem, ale w satyrycznej intencji, w gorzkiej ironii wobec możnych tego świata, jest już ogromna śmiałość i ta nuta osobista, po której ten pierwszy utwór Orzeszkowej poznać można, — pisała go ta ręka, co później podniosła chłoszczącą różgę na przywary tych, którym wiele dano, aby złożyli rachunek.

„Skończyłam moją powiastkę piękni panowie i panie.

Przebaczcie, jeśli znużyłam prostem opowiadaniem.

Ale widzicie — słowo niezawsze zdoła wypowiedzieć gorące poczucie i *piórem trudno wyprowadzić na jaw myśl żywą!*

Przyszedł czas — że *myśl żywa*, stała się *żywym słowem twórczym* pod piórem Orzeszkowej.

W sześć lat później, choć jeszcze walcząc z trudem wyprowadzenia na jaw *myśli żywej* — po całym szeregu mniejszych utworów — wystąpiła Eliza Orzeszkowa z trzytomową powieścią „Pan Graba”.

Ten drugi, poważny już debiut literacki i społeczny — zrobił wielkie wrażenie: oto co pisze o nim w „Wieńcu” z 1872 r. ówczesny krytyk z „Gazety Polskiej” i „Niwy” — Henryk Sienkiewicz:

„Książka ma wartość społeczną większą niż artystyczną. Pani Orzeszkowa mądrze postąpiła chłoscząc absenteizm, próżniactwo bulaszczość i nałogi mężczyzn wyższej sfery społecznej, a niedołęstwo, głupotę i próżność kobiet tejże sfery. Przytem dostaje się wadom, jakie zwykle kwitną na tle, na jakim rozgrywa się akcja: dostaje się plotkom, znikczemniałej opinii publicznej, dewocyi i t. d. Wydanie na ohydę publiczną nałogu karciarstwa, nie jest w naszych czasach wojną z wiatrakami.

Nałóg ten istnieje, a nawet się rozszerza. Ale książka nie ma na celu poprawy takich Grabów; ci już nie poprawią się; autorce chodziło o ludzi w rodzaju Klońskiego, Słabeckiego, Zrębskiego i t. d. A i takich u nas niebrak. Dość przejechać się po małych miasteczkach, gdzie obywatelstwo szuka rozrywki w grach, zapomnienia w winie, ratun-

ku w lichwie; dość spojrzeć na kobiety miejskie i wiejskie, przedzące dla zabicia czasu miłe ploteczki sąsiedzkie. Przenieśmy się do stolicy — i tam pokażą nam palcami takich panów — graczy i warcholów, co to zachowali wszystkie wady przodków, a ani jednego z ich przymiotów. Eheu! nie brak takich! Książka pani Orzeszkowej jest przestrożą dla nieupadłych jeszcze, jest wyrzutem sumienia dla poczynających brnąć, jest nawet i, co najważniejsza, pewną pośrednią wskazówką dla tych, którzy chcą podpierać walącą się budowę. Pani Orzeszkowa, można rzec, pierwsza z kobiet zdobyła się na powieść o szerszym znaczeniu społecznym. Wogóle kobiety w utworach swoich mniej są obiektywne od mężczyzn; tworzą więcej „postulaty za rzeczywistość, niż odtwarzają organicznie samą rzeczywistość”. Malują świat idei i uczuć, a do tego najczęściej własnych; stąd przy całej bujnej fantazyi, utwory ich grzeszą nieprawdą, brakiem życia, egzaltacją, ekliwością, a nawet brakiem żywego rozsądku. Stąd też błahość treści, przy znakomitej często formie. Przejadły bo się i trochę owe czyste, jak łyzy becziesne dziewice, owi posępni bohaterowie którym do wielkości brak... bagatelki, bo tylko czynów wielkich, a na czyny znów nie mają czasu, bo przecież muszą rozpaczać. Znużył ten cały świat, rozmiłowany we własnej niedoli, chory na umyśle, gotowy do poświęceń z lada powodu, a rzeczywiście egoistyczny, rozpróżniaczony. Są rzeczy lepsze, o których bardziej warto i bardziej potrzeba pisać. Literatura ma inne obowiązki, niż zwracanie głów pensyonarkom, inne, niż płacz

nad niedolą głupich, choćby ci najwymowniej w świecie pytali księżycy, gwiazd i fal morskich, dla czego tacy nieszczęśliwi. Literatura ma obowiązki obywatelskie, którym musi zadość uczynić, jeżeli chce istnieć. Ona nie może być sobie celem; — jej celem ogół, jego dobro.

A tak z piszących niewiast, pani Orzeszkowa jedna z pierwszych to zrozumiała, jedna z pierwszych przestała pisać o niczym, jedna z pierwszych powiedziała sobie: furda uczucia z pod ciemnej gwiazdy! Przez pana Grabę pani Orzeszkowa nie tylko postawiła silnie stopę na gruncie społecznym, ale co większa — utrzymała się na nim.

Ta obiektywność, ten prawdziwy element i żywe poczucie wad społeczeństwa, to już jedna zasługa pani Orzeszkowej, ale jest i druga, o której zaraz mówić będziemy. Wspomnieliśmy, że żyd Widger, ze stanowiska prawdy artystycznej, jest postacią, jeśli nie zupełnie chybioną, to przynajmniej nie dość trafną; ale tkwi w niej obok tego i myśl społeczna, której tenby chyba nie dostrzegł, kto by nie chciał. Myśl ta w obrazie następującym:

Z jednej strony występuje szlachta nasza, nasi półpanowie i panowie, ludzie wieżący w zacne urodzenie, w zadaną krew, ludzie na wysokim szczeblu drabiny społecznej, majętni, pełni sił i życia — z drugiej, jako antyteza pierwszych — żyd lichwiarz, choiwy jak... żyd lichwiarz, nieczuły na łyzy ludzkie, wiecznie głodny złota, wysysający to społeczeństwo, które mu dało przytułek: słowem prawdziwy upiór. Szlachta, półpanki, a pa-

MACIEJ WIERZBIŃSKI.

Święty Fen.

Powieść z życia ikarystów.



(Dalszy ciąg).

II.

Chata Crosston'ów czerniła się na wzgórzu opodal wiatraka, który z rozkrzyżowanymi śmigami królował w pośrodku siola, rozrzuconego bezładnie po kilkomiłowej przestrzeni i w tej przedwieczornej godzinie wydawał się demonicznym potworem.

W jednym tylko miejscu gmina Purleigh skupiała się w zwartą wieś: nad głównym gościńcem, wiodącym doliną do Maldon. Tu gumna gnieździły się gęsto, jedne obok drugich, schludne domki szeregowały się w małych odstępach, strojne w powoje, w pędy róż pnących i bluszcze. Od żwirówki wysadzanej klonami dzieliły je ogródki pełne różnobarwnych maków, malw i słoneczników. Niby wyświętaczony wiochny, sympatyczne facjatki domków zwracały do przejezdnych uśmiechnięte, zdrowe oblicza i zazierały sobie

w oczy wzajemnie. A powagi dodawał tej kongregacji okazały kościół w normandzkim stylu, z popielatego kamienia, z okazałą wieżą, kogutem mądrości ukoronowaną. Wieńczyło go kilka wil, należących do bogatego probostwa.

Zdała od tej kompanii stała chata „pod wiatrakiem”, w samotności zupełnej i ubóstwie. Nizka była, łupkiem pokryta, licho murowana i źle otynkowana, bez kwiatka, bez niczego, na czem oko spoczęłoby z przyjemnością. Po za nią tuliły się do siebie obora i kurnik i ciągnął sad, spływający długą wstęgą z wzgórze na koniecznisko, które tę wyniosłą, zieloną wyspę dzieliło od serca siola.

Zresztą przy wiatraku widniała pusta szopa, krzewy ciernistej jemioli i chrósty. Piaszczysta dróżyna wiodąca od gościńca do wiatraka porośla była trawą, burzanami i bujnie rozkrzewionymi chwastami tak, iż wędrowiec zapuszczający się tam miał wrażenie, że wstępuje w pustkowię.

Jakiś smutek wiał od tego ustronia i jakby chłód przezgonnej rezygnacji z życia. Zwłaszcza w tej godzinie, gdy na nieboskłonie dogasały blaski słoneczne, na lazurach roztaczały się ciemne plachty chmur zastygłych, przez które miejscami sączyło się roztopione w purpurze złoto, i gdy nocne fiolety poczęły zalewać senny świat.

Jakże niesłychanie daleko od życiem kipiącej metropolii czuł się Frank Darlington, wspinając się na wzgórze samotności!

Stary, zółty kundel wylegiwał się pod ścianą chaty i zmrózonemi ślepiami przyglądał się kurom, które przechadzały się po barłogu, z powagą prowadząc lilipecie kurczęta, ruchliwe jak myszki. Na odgłos kroków odwrócił łeb i spozierał bez ruchu, z filozoficznym spokojem na nieznanomego, aż wreszcie raczył dźwignąć się i podejść leniwie do przybysza, który snadź pozyskał jego zaufanie, bo obwąchawszy jego torbę, psisko kiwnęło ogonem uprzejmie i towarzyszyło mu do drzwi domostwa.

Z za węgla domu wyszła wysoka, tęga kobieta w sandałach i długim centkowanym negliżu kretonowym spartańskiej prostoty — blisko czterdziestoletnia osoba o ładnej sympatycznej twarzy. Poczęła rzucać kurom z miski jagły, a, gdy spostrzegła Franka, objęła go miłym spojrzeniem. Była to pani Crosston.

Uprzejmie przyjęty Darlington znalazł się niebawem w izbie, wypełnionej głównie przez stół ceratą nakryty. Na wygniecionym szeslongu pod niskim oknem spoczywał jak kłoda młody człowiek z obnażonemi po kolano i opalonemi od słońca nogami, w ciemnych pluderkach i wyciętej dokoła szyi koszulce wełnianej i — chrapał serdecznie.

(DCN.)



nowie i on.. to zdaje się dwa bieguny... a jednak, ktoby wierzył, że wobec dystygowanego pana Graby, nawet wobec reszty również dystygowanych, modnych i pachnących jego towarzyszków — ten żyd lichwiarz jest pro prostu bohaterem? Któżby uwierzył?... a jednak tak jest.

Nadmienić jeszcze wypada, że Orzeszkowa nie ogranicza się na spostrzeganiu wad społecznych, ale sięga głębiej — do ich przyczyn. W całej książce wieje myśl widoma na każdej prawie stronie, że jeśli istnieją tacy Grabowie, Słabecy etc., to wina ich wychowania, to wina ich matek. Niejedna może mamunia dostrzegłszy tej idei, skrzywi się kwaśno lub oburzy... ale kwestya, czy właśnie nie o to między innymi pani Orzeszkowej chodziło?

Kończymy, szczerze winszując p. Orzeszkowej nowo obranego kierunku i szczerze życząc czytelnikom, aby im losy dały więcej auterek podobnym ożywionych duchem“.

Życzenie Sienkiewicza spełnione zostało.

J. Oksza.



Na mandolinie.



O dosyć dziecię — dosyć skarg,
Wybladłej dość tęsknoty,
Lato nadeszło — cichy park
W szacie zielono-złotej...

Lato nadeszło! — Bujna krew
Wre jeszcze, tętno płynie,
Zanucę tobie dawny śpiew
Na starej mandolinie!

Stańmy, gdzie szczerbion w blanki mur,
W świat patrzy od stuleci,
Czarno-zielony patrzy bór,
A ciepłe słonko świeci!

Dobrze nam tutaj. — Cały świat
Nad dumnym sercem, hardem
Nie może nic! Lez otrzyj ślad,
Ja będę tobie — bardem!

Przed laty — rycerz w zamku żył,
Złociste miał kędziory,
Zbroją srebrzystą wrogów bił...
Lecz drżały zamki, — dwory,

Kędy rozkwitał dziewcząt kwiat,
Różany, biały, złoty,
Rycerz spojrzeniem serca kradł,
I niecił żar tęsknoty.

Chłód wieje z jasnych jego lic,
Miłosne niepokoje

Obce dla niego — nie wie nic,
Że płaczą dziewcząt roje...

Mijają lata — rycerz on,
Choć starzeć się zaczyna,
Zachwytów, tęsknot zbiera plon,
Aż przyszła nań godzina...

Do grodu wprost, przez skalny złom
Od zamku wiodła droga,
Przy drodze stał piekarza dom,
A córka tam — nieboga

Czarowna, hoża, dębu kloc,
Ogień ma w oczach dziki,
Pracuje ojcu dzień i noc,
I piecze — podpłomyki.

Raz jechał pan — piekarz u wrót
Pokorny stał i drżący,
Zmęczony rycerz poczuł głód,
Podpłomyk zjadł gorący.

I chociaż wstrętów zawrzał głos
Wśród dam i wśród rycerzy,
Piekarzę spotkał wielki los,
Świat ledwie temu wierzy...

Jak teraz lata pora szła
Za lasów — hen — firanką,
Kiedy piekarska córka zła
Została — kasztelanką!

Zazdrosną była. — Miecz i tuk
Schowała, — a kędziory
Złote — obcięła. — Zarósł próg
Zamkowy. — Skapstwa zmory

W świat rozegnały dawną brać
Rycerską, dzielną, bitną.
Pan — musiał kaftan z łosia wdziać,
Kapużę aksamitną...

Słuchać, co pani kazał głos,
(A krzyki to — prostacze)...
Dobry miał rycerz — dobry los,
Za dziewcząt ból — i płaczel...

Nie śmieję się dziecię!... Oto nów
Cicho przez błękit płynie...
Zaśpiewam kiedy piosnkę znów,
Na starej mandolinie...

Bożymir.



Życie kobiety polskiej na tle życia amerykańskiego.



Ciekawy i odrębny charakter nosi na sobie życie obyczajowe Ameryki.

Nie zapuszczając się w dziedzinę praw, faktów, przyczyn historycznych etc., chcę skreślić tylko to wrażenie odmienności, widzialnej wszędzie i uderzającej wzrok przybysza z Europy.

Już na wstępie na ład nowy w N.-Yor-ku przyciąga uwagę zastęp kobiet zwinnych, żywych, smukłych, poruszających się swobodnie, śmiało i wesoło w parkach, teatrach, na ulicy. Mimowoli wzrok biegnie za niemi i śledzi je, nieświadomie szuka bliżej lub dalej eskortujących panów... Gdzie tam — nie. Mężczyźni — ci poważni, skupieni, surowi nawet Amerykanie — idą jak posągi niewzruszeni, zimni, obojętni, rzadko bardzo wzrok na chwilę podąży za którą, kroki — nigdy.

Amerykanka śmiało, zuchwale nawet, toruje sobie drogę wszędzie, nie dba o nic i o nic nie prosi — żąda. Strojna, elegancka, ładna, ma w sobie niezależność dziwną — śmiała, ludzka, — co się do zalotności nie zniża wcale, ani żebrze o spojrzenie, uśmiech, uznanie. Patrząc na nie rozumiem, iż ruch sufrażystek powstać musiał nie gdzieindziej, tylko na ziemi angielskiej, czy też amerykańskiej, — ten ruch wybujałej swobody, zuchwałości nawet — nigdzieindziej kobieta odwagi by nie miała na taki wybuch temperamentu.

Otóż ta śmiałość i niezależność jest cechą główną kobiety w Ameryce, druga — jest zatarcie różnicy wieku. Spotykam smukłe, gibkie postacie, ubrane jasno, barwnie, słyszę wesoły, młody śmiech i naraz patrzy na mnie twarz śladami wieku znaczone, siwizną okoloną. Kilka dni temu, w rozmowie z wykształconą Amerykanką, rzuciłam nieostrożne, jak się okazało, pytanie: „czy ta pani już jest stara?“ Spojrzała na mnie dziwnie, następnie zaczęła niepohamowanie się śmiać: „Stara? U nas niema kobiet starych — my tego nie znamy... Mogą być chore, słabe — ale stare..

(i znów się śmiała wesoło). Nie — my wszystkie jesteśmy młode... A czy w Polsce są kobiety stare? — badała mię wesoło, wyliczając kraje, gdzie mogą być, a gdzie nie mogą być kobiety stare.

I tak jest — i jest w tym prawda głęboka i psychologia. Zrozumiałam — i już mię nie razily śmiejące się, żywe, barwne kobiety starsze i już im zazdrościłam tylko tej pogody, świeżości życia i podziwiałam kraj, którego wolność istotna nie wkłada żadnych więzów na naturę ludzką, nie wciska przemocą buntującej się treści w kłamana formę i formułuje jeden tylko nakaz: „bądź sobą”. — Wolna Ameryka nie tylko żelazem prawem obronczem otoczyła kobietę, dając jej w ten sposób zupełną swobodę poruszania się, ale i w dziedzinie życia wewnętrznego wyzwoliła od nakazów i okuć zewnętrznych.

Ciekawem jest, jak ta surowość prawa obronczego i pewność odpowiedzialności nieuniknionej odbiła się na charakterze mężczyzn. Czasem istotnie wesoło się robi, patrząc na oniesmielonych i jakby załęczonych panów stworzenia, — a tak jest istotnie i oni nieraz boją się i to nie na żarty. Wszak na ruch jednego palca kobiety na ulicy, bez żadnych tłumaczeń, mężczyzna będzie ujęty i uwięziony — aż do wyjaśnienia w sądzie — perspektywa niezbyt miła.

Za obietnicę małżeństwa, nie mówię już uwiedzenia, płaci grubo, lub dotrzymuje słowa, za wszelką obrazę i rekryminację kobiety ponosi wysokie kary pieniężne. Nic więc dziwnego, że się boi i strzeże — ale opieka ta prawa zrzuciła, iż się z kobietą liczy, jak z równą, ma ją istotnie za człowieka.

A to poszanowanie kobiety weszło tak dalece w krew społeczeństwa młodego, iż nawet urwisy, napastujący po ulicach, nie obrażają nigdy kobiety, rabusie nawet w nocy rzadko napadają na mężczyznę, gdy idzie z kobietą. Jest ona czemś nietykalnym tutaj, mimo, iż w stosunku do niej nie okazuje ani galanterii szczególnej, ani grzeczności wyjątkowej.

„Stosunek mężczyzny do kobiety w Ameryce jest chlubą i dumą społeczeństwa naszego” — powiedziała mi tu przewodnicząca klubu kobiecego, oburzając się jednocześnie na stosunek ten w Europie.

Miała słuszną zupełną — nie mogłam bronić. Kobieta amerykańska to dzielny, wolny człowiek, wybranka losu, na której wybitnie znać powietrze twórcze wolności, które ją kształtuje, dźwiga, tworzy. Nie ma ona, ani tego pogłębienia, ani wysubtelnienia, ani zasług dziejowych, co kobieta w Europie — ale dzielna, zdrowa, śmiała, idzie, zdobywa, chce mieć wszystko przed sobą otwarte, by móżdżek wybierać i sięgać. I wszystko się przed nią otwiera — i wszystko jej dają, a ona chce wciąż więcej i więcej. Jakże dalekiem jest od tego uprzywilejowanego stanu stanowiska kobiety polskiej wśród polskiego społeczeństwa w Ameryce. Jesteśmy tu w tym kierunku przynajmniej o wiek cały spóźnieni. Dom, kuchnia, dzieci — oto dekalog prahistoryczny. A jeśli już co i wolno, to tylko pod przewodnictwem i patronatem mężczyzny.

To też jedyna tu samodzielna kobieca organizacja „Związek Polek w Ameryce” — przejść musiała przez walkę i przeszkody bez liku, przechodzi je i dziś jeszcze za to tylko, iż chce być niezawisłym. Założony został przed 10 laty, dzięki inicjatywie czterech pań, z których główną organizatorką i przewodniczącą jest p. Stefanja Chmielińska. Rozwój „Związku Polek” istotnie jak na przeszkody, które musiał zwalczać, jest świetny. Gdy w roku pierwszym, na sejmie pierwszym, liczył 264 członków, obecnie w roku dziesiątym liczy 7072 — grup—93.

„Związek Polek” posiada dom własny, własną bibliotekę, ma zorganizowany wydział oświaty, pracujący drogą odczytów, lekcji wieczornych, pogadanek, wieczornic — na założenie szkoły polskiej jeszcze się nie zdobył. Cele ma „Związek Polski” oświatowe i narodowe, jest przytem instytucją asekuracyjną dla kobiet, jak się to powszechnie praktykuje w Ameryce. Naturalnie, jak dotąd, cała energia „Związku Polskiego” uchodzić musiała na zdobycie gruntu pod sobą, na organizację pracy w warunkach tak ciężkich, obecnie jednak, gdy w życiu stanął już silną stopą, spodziewać się można, iż rozwinie jak najdalej idącą pracę oświatową i pracę uświadamiania i dźwigania kobiety na przynależne jej stanowisko ludzkie i obywatelskie.

Brakiem wielkim w kierunku pracy tej jest nieposiadanie własnego organu, bo to, co się nazywa „Głos Polek” — jest to tylko parę stron druku, dawanych „Związkowi Polskiemu” na mocy ugody, w piśmie niezależnym „Dziennik Narodowy” — naturalnie więc niema ani możliwości, ani miejsca rozwinąć własnego kierunku, propagować istotne cele organizacji kobiecej. Wiem, iż „Związek Polek” rozumie tę nagłą konieczność pisma i myśli o założeniu go w przyszłości. Na razie na przeszkodzie stoi brak środków i sądzę, że też brak odpowiednio wykształconych kobiet, wogóle, jak wszędzie tak i tu, przy poczynaniu każdym brak inteligencji odczuwać się daje.

Obecnie usiłowania „Związku Kobiet” zwrócone są w kierunku zebrania odpowiedniego funduszu na „Dom Polski” — jako upamiętnienie i dar Grunwaldzki. Zrobiono już wiele, można być pewnym, że się tego śmiałego i pięknego pomysłu dokona.

„Związek Polek” nie obejmuje wszystkich kobiet zrzeszonych, jest dużo innych, które wolą zrzeszenia męskie, lub wyraźnie katolickie — więc są grupy kobiece przy „Zw. Pols. Nar.,” oraz przy „Stow. Rzymsko-Kat.,”. Prócz tego jest liczny zastęp sokolic, należących do „Sokoła Polskiego”, które rozwijają czynną narodową służbę, organizują działalność, uświadamiają lud.

Charakter wszystkich organizacji kobiecych, jak i całego społeczeństwa polskiego w Ameryce jest konserwatywny i głęboko religijny. Są naturalnie i tu partye skrajne i bezwyznaniowe, ale jest to odsetek bardzo nieliczny. Kobiet w nich niema, najśmielsze są te, które do „Związku Polek” należą.

Stefanja Laudynowa.

Chicago-Illinois.

Nauczycielka.

Historia węgierska Aleksandra Bródy, tłumaczył Tadeusz Konczyński.



(Dalszy ciąg).

A K T II-gi.

Szkoła. Ściany białem wapnem pomalowane. Izba mogłaby równie dobrze służyć za stajnię jak za szopę na zboże, tak jest nieregularnie zbudowana. Piec pękaty. W głębi niezwykle wielkie okno, obok inne, małe, dające się otworzyć. Katedra i wielka ruchoma tablica na podium. Na ścianie tablice z literami do czytania i rysunki. Nad katedrą wielki, drewniany krucyfiks. Drzwi na lewo i prawo. Lewe prowadzą do innej ubikacji, prawe do gościniec. Złe, bardzo zużyte ławki. Przed katedrą stół z kwitnącą azalją. Rzecz dzieje się w trzy miesiące później. Początek zimy. Śnieg dopiero co spadł. Ósma rano.

Scena I-sza.

Córka Kantora. — Ssusza.

Zewnątrz już widno, lecz w izbie pali się jeszcze lampa, którą Ssusza gasi podczas pierwszej sceny.

CÓRKA KANTORA (*trzymając w ręce wielki wazon z kwitnącą azalją*).

SSUSZA (*stoi przy tablicy tyłem do niej pisze cyfry*). Zaraz z tem precz — precz — wyrzucić to na dwór!

CÓRKA K. Nie mogę, serce mi nie pozwala.

SSUSZA (*bierze kwiat, niesie do okna, w ostatniej chwili ukrywa ukradkiem gałązkę, resztę wyrzuca*).

CÓRKA K. (*zakrywa sobie oczy*).

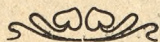
SSUSZA (*wraca do tablicy, pisze kredą*). po, pod — p... (*Do córki Kantora*) Czy znowu pisał?

CÓRKA K. Tak. Przysłał na moje imię. Czy mam ci list dać?

SSUSZA. Nie, odeslij, z powrotem. Zadresuj: Wielmożny Pan Stefan Hegedüs junior... napowrót z listem... Tylko raz jeden mogłam jeden z jego listów przeczytać, aby poprawić ortograficzne błędy (*odwraca się, nuci i pisze cyfry na tablicy*). Pięć razy pięć równa się dwadzieścia pięć (*ziewa*). Znowu nie mam całkiem wypoczętej głowy, znowu tej nocy źle spałam. Rano: kwiaty! w południe: list! w nocy: muzyka! Czego on chce właściwie? (*rozmarzonym głosem*) Ale noc była urocza. Nie zmrużyłam oka.

CÓRKA K. Żebyż to była urocza! mną trzęsła febra... wciąż się bałam, że zapuka do mego okna i że wejdzie!

SSUSZA. On? On ani raz jeden nie był pod oknem! Boi się, że się skompromituje!



CÓRKA K. Wyrzucasz go za drzwi, a on ci zaraz nadskakuje.

SSUSZA. Kiedy go widziałas?

CÓRKA K. Od dwóch miesięcy prawie, że się nie rusza ze swego nowego zamku!

SSUSZA. A aktorka?

CÓRKA K. Odesłał ją do domu. Pogodziła się ponownie ze swoją publicznością..

SSUSZA. Czy ludzie bardzo są źli na mnie?

CÓRKA K. Bardzo. A nie będziesz się gniewała na mnie, jeśli ci wszystko wygadam?

SSUSZA. Mów.

CÓRKA K. Wczoraj w aptece był piekielny hałas. Chcieli ci wygryźć!

SSUSZA. Hm, a dlaczego?

CÓRKA K. (*nuci serenadę*). Dlatego!

SSUSZA. Nie mogę przecież wiedzieć kto to urządził!

CÓRKA K. Dlatego właśnie! Mówią, że miałaś kochankę w Peszcie. Musiała to być straszliwa tajemnica, bo oni tak bardzo głośno krzyczeli! Zamknęli drzwi, ale okno otwarli i tak krzyczeli. Dziewka aptekarza, we wszystko się wmiesza. Mówi, że notaryusz miał dziewięć razy powiedzieć: Ona jest egzaltowana! egzaltowana!

SSUSZA. Ja, egzaltowana?

CÓRKA K. Wszyscy mężczyźni są wściekli na ciebie, także nauczyciel Tuza. Słuchaj, czy to prawda, że on trzy razy oświadczył się o twoją rękę?

SSUSZA. Nie, to nie przesada. Siedem razy się oświadczył! Ten także mówi o miłości! Ach, ja już nie lubię tej miłości!

CÓRKA K. Tak, to wy już więcej nie mówicie ze sobą?

SSUSZA. Tylko na migi. Odrabiamy ćwiczenia głuchoniemych. Ach, niech mię w spokoju zostawia! w spokoju!

CÓRKA K. Wiesz, aptekarzowa jest zazdrosna o ciebie z powodu swego męża. Lekarz okręgowy powiedział, że nie znasz żadnej dyscypliny. Powiedz mi, dlaczego nie znasz żadnej dyscypliny i co to znaczy?

SSUSZA. Ja ci już mówiłam, żebyś tak dużo nie plotła. Dzieci już przyszły. Słyszysz, już pukają... Serwus... egzaltowana!

Córka Kantora wychodzi.

Scena 2-ga.

Ssusza, dziewczynki szkolne.

DZIEWCZYNKI (*klaniają się*). Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

SSUSZA. Na wieki wieków, amen. (*Modlitwa*): W imię Boga Ojca i Syna i Ducha Świętego, amen. Zdrowaś Maryo, Łaski pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty

między niewiastami i błogosławion owoc żywota Twojego Jezus, Święta Maryo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej, amen. Chwała Bogu Ojcu, Synowi i Duchowi Świętemu, amen. — A teraz, żebyście mi, dzieci, uważały i żebyście były ładne i dzielne! Które dziś nie będzie dzielny, tego nie będę więcej kochała. Będę dziś bardzo surowa, ale sprawiedliwa. No, co tam miauczysz, Rózo? A ty Marto, wyczysć sobie noski należycie.. Czwarta i trzecia klasa tabliczki na ławkę! Napisać zdanie złożone. Pierwsza klasa, czy znacie jakie imię?

DZIEWCZYNKI. Stefi!

SSUSZA. Dobrze, a więc Stefan! A teraz dobrze uważajcie, bo ja wam to imię napiszę na tablicy (*sybilizuje i pisze pojedyncze litery, dzieci powtarzają litery — gdy napisała „n“*) a teraz przezytajcie litery razem.

DZIEWCZYNKI (*z przekonaniem*). Steffi...

SSUSZA. ... fan — fan! jeszcze raz!

DZIEWCZYNKI. Stee...

Scena 3-cia.

Ciż, Sędzia gminny.

SĘDZIA (*wsadza głowę przez drzwi*). Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Czy przeszkadzam?

SSUSZA (*niechętnie*). Tak.

SĘDZIA. No, to przychodzę na inspekcję (*staje z urzędową powagą przed ławkami*).

DZIEWCZĘTA (*podnoszą się*). Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

SĘDZIA. Na wieki wieków, amen. Siadajcie teraz. No, siadajcie. Słyszałem, że jesteście bardzo pilne. To wasz obowiązek i powinność. No... starajcie się tylko, abyście były dzielnymi matkami węgierskimi. Wasz m zaś (*do starszych dziewcząt*) jest powołaniem powstrzymywać chłopów od emigracji. (*Do Ssuszy*) Nie ma patriotyzmu w ludzkiej. Wynoszą swe siły robocze na obczyznę i porzucają tę tu błogosławioną równinę.

SSUSZA. Z której, ani jedna piędź do nich nie należy.

SĘDZIA (*podaje Ssusze rękę, ona podaje swoją z uśmiechem, on wskazuje na dzieci*). Wszystko węgierski styl... małe tulipany... barwnie ubrane... (*ciszzej*) Niech pani wypuści na minutę te małe prosiaki. W sprawach szkolnych! rzecz ważna! niecierpiąca zwłoki!

SSUSZA. Moja sprawa?

SĘDZIA. Nie, moja.

SSUSZA. Dzieci, możecie iść na dwór. Pobiegajcie trochę po śniegu.

DZIECI (*z wielkim hałasem, ale w porządku wychodzą*).

Scena 4-ta.

Ssusza, Sędzia, potem dziewczynki.

SĘDZIA. Komisya szkolna zebrała się w aptece. Czekają tylko na mnie, aby zacząć. Rzecz idzie o panią. Pani, moja panienko, przypawiła gminę o febrę, pani wywróciła do góry nogami towarzyski i moralny porządek...

SSUSZA. Tak, a czego pan tu chce?

SĘDZIA. Ja jestem władza, mężczyzna! Niech panna zapamięta to sobie, że w tej gminie jest tylko dwóch mężczyzn: ja i Stefan Hegedüs! My obydwaj mamy pani wyżej uszu. Tamten wszystko przelknął i więcej się nie pokazuje. Ja jednak nie ścierpię...

SSUSZA. Czego?

SĘDZIA. Żeby pani dała pohop do stosowania drakońskich przepisów. My jesteśmy otoczeni przez wrogie narodowości i rzeczą jest nie do darowania, aby awantury węgierskiej nauczycielki...

SSUSZA. Jakie awantury, jeśli wolno zapytać?

SĘDZIA. Pani ma utajonych wielbicieli.

SSUSZA. A więc nawet tej trochę nocej muzyki bierzecie za złe?

SĘDZIA. Ja nie chcę panią poddawać żadnemu śledztwu. My już na sprawcę wpadniemy, a wtedy biada mu! Ale proszę mi powiedzieć Ssusza, czy ty nie masz jakiej prośby do mnie? Czy ja się pani nie podobam?... Bądź co bądź musimy sprawę pozycy pani jeszcze omówić. Czy przyjdzie pani jutro do mnie do biura? tak?

SSUSZA. Do biura?

SĘDZIA. Jutro. W niedzielę przed południem. Żywej duszy nie będzie u mnie. Nikt się nie dowie.

SSUSZA. A więc dlatego pan tu przyszedł? Pan, członek szkolnej komisji? Dlatego każe mi pan dzieci rozpuszczać?

SĘDZIA. Tak. O, ja wiem, że dopuszczam się łajdactwa. Samo przez się się rozumie! Ale, jeżeli pani buzi nie zamknie, wie pani, co ja zrobię? Poprostu zaprzeczę. Parole d'honneur.

SSUSZA (*dzwoni na dzieci*). Dzieci, pan inspektor szkolny chce się z wami pożegnać.

DZIECI. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

SĘDZIA. Na wieki wieków, amen. Siadajcie! Do widzenia! (*wychodzi*).

SSUSZA. A teraz dalej czytanie i pisanie...

Scena 5-ta.

Ciż, Notaryusz.

NOTARYUSZ. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

DZIECI (*podnoszą się*). Na wieki wieków, amen.

NOTARYUSZ. Czego tu chciał sędzia?

SSUSZA. Zrobił szkolną inspekcję.

NOTARYUSZ. Czy powiedział pani, co przeciw niej przygotowują? Chmury zbierają się nad głową panny.

SSUSZA. Od tego są chmury.

NOTARYUSZ.. Szkolna komisya zebrała się, aby rzecz zbadać i osądzić. Ale dzieci nie powinny wszystkiego słyszeć.

SSUSZA. Niemam żadnych tajemnic przed nimi.

NOTARYUSZ (*do dzieci*). Panna nauczycielka pozwala wam wyjść i pobawić się na śniegu. Ale żebyście nie poleciały do chłopaków. (*Dziewczęta wychodzą*).

Scena 6-ta.

Ssusza, Notaryusz, potem dzieci.

SSUSZA. I pan kurator przyszedł, aby mnie przygotować?

NOTARYUSZ. Aby panią ustrzedz od hańby i moralnego upadku!

SSUSZA. Czekam na szkolną komisję i chcę jej w oczy spojrzeć.

NOTARYUSZ. Szkolna komisya to ja jestem.

SSUSZA. A czego pan chce odemnie?

NOTARYUSZ (*nieważnie*). Chcę panią wprowadzić na drogę — cnoty. Na drogę jedynie uszczęśliwiającą. Na moją drogę.

SSUSZA. A dokąd prowadzi ta droga?

NOTARYUSZ. Do bezpamiętnej wiary. Pani od kilku miesięcy nie spowiadała się...

SSUSZA. Stary, czeigodny proboszcz jest chory, odkąd tu jestem. A zaś młodemu duchownemu żebym miała szeptać do ucha wymyślone grzechy, nie..

NOTARYUSZ. Tylko co się tyczy duszy... ja chcę mieć pani duszę.

SSUSZA (*śmieje się*). Moją duszę? Tak! pańska dusza — moją duszę! Patrzę teraz panu prosto w oczy. I przeciw mnie ma wystąpić szkolna komisya? A pan będzie oskarżycielem?

NOTARYUSZ. Lub obrońcą! Jak pani chce.

SSUSZA. No to ja wolę oskarżenie.

NOTARYUSZ. Ja nie. Pani może tylko jedno słowo powiedzieć, a ja panią poprowadzę na grunt błogosławiony.

SSUSZA. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

NOTARYUSZ. Ale ja... Odkąd pani tu się znajduje, pożera mnie tęsknota, żeby nasze dusze mogły wspólnie zabrznieć w wielkiej, wspólnej harmonii... (*chce uchwycić jej rękę*).

SSUSZA. Mam wstręt do tej moralnej

podstawy, jeżeli jest taka zimna i wilgotna jak pańska ręka... Niech pan to powie komisji (*dzwoni na dzieci, które wpadają*). Dzieci! pan kurator szkolny chce się z wami pożegnać.

NOTARYUSZ. Niech będzie pochwalony (*zagryza wargi*).

DZIECI. Jezus Chrystus!

NOTARYUSZ. Na wieki wieków, amen (*wychodzi*).

SSUSZA. Marya Patta, Anna Kürbiss, Emerancya Kiss, Emerancya Pipparé, czwarta, piąta klasa wystąpi naprzód! (*Dziewczęta trzymają na rękach czyste buty: nogi mają uwalane w błocie*). Czy wam nie mówiłam, żebyście mi nie wchodziły przez święty próg szkoły z takimi nogami? Prosięta! Od czego są buty? W rękach czy na nogach? Nie sprzeciwiać się... Ja dziś jestem bardzo surowa... A teraz dobrze uważajcie. W planie naukowym następna godzina przeznaczona jest na lekcję rozumowania. W imię Boga: czy wy wiecie, co to jest państwo?

(*Dzieci milczą*).

MAŁA DZIEWCZYŃKA. Ten, komu się płaci podatki...

SSUSZA. Bardzo dobrze. Podatki i żołnierzy. A co to jest lud? (*Dzieci znowu milczą*). Tego nie wiecie? Czy wyście lud? Wy! Wy dajecie ludowi żołnierzy, wy płacicie podatki i pozwalacie, aby wami rządono. A czy wiecie co to jest rząd? No tak, milczycie znowu jak myszki.. Ugniatacie chleb to umiecie, ale o rządzie to nie wiecie nic. Jakże chcecie iść przez życie? No, uważajcie: Rządzić to znaczy tyle co badać, czy to, czego domagają się biedni ludzie, nie wyjdzie na szkodę ludzi bogatych. Tak więc lud może wszystko to robić, co podoba się wielkim panom. A nad rządzącymi jest jeszcze ktoś: ty, Rozaljo, kto jest pierwszym mężem w kraju?

MAŁA DZIEWCZYŃKA. Jaśnie wielmożny młody pan Stefan Hegedüs.

SSUSZA. Siadaj! ja tego nie ścierpię! ja wam powiedziałam, że będę bardzo surowa. A dziś wyście wszystkie razem osły! Rozum w was zamarzl! No, śpiewajcie co! chórem! Poddam wam ton. (*Bierze w rękę widelki gło-sowe, uderza niemi*), Trzy... Cztery...

DZIECI śpiewają chórem powoli węgierską piosnkę ludową:

Wichura wyje ponad gajem

Śpiewa ptaszyna, śpiewa ze łzami

Śpiewa o żalach swych, śpiewa o śniegach złych

Kochanie żegnaj, kochanie żegnaj.

SSUSZA (*nadstuchuje zwłaszcza w stronę drzwi, potem opuszcza głowę na stół. Od czasu do czasu podnosi głowę i wpada w melodyę, potem zamyka oczy. Pukanie do drzwi*).

(DCN.)

GŁOSY CZYTELNIKÓW.

W obronie Połagi.

„Lepiej późno — niż nigdy“. A późno mogę sprostować wiadomości o Poładze p. E. Żypowskiej, pomieszczone w № 43-m „Bluszczu“, r. z. p. t.: „Wspomnienia z Bursztynowego wybrzeża“. Przyczyną tego opóźnienia jest okoliczność, że „Bluszcz“ do Połagi nie wiele dochodzi, a wspomniany wyżej numer — przed kilku tygodniami dopiero przysłany mi został z Warszawy przez jedną z wielbicielek Połagi z dopiskiem wyrazów wielkiego oburzenia na autorkę „Wspomnień“.

Nie dobre wrażenie wywołała p. E. Ż. z Połagi... Opuściła ją strawiona straszna nuda — zgorziona nienawiścią mieszkańców, dotknięta reumatyzmem, oburzona na drożyznę. I nie tylko p. E. Ż. Wszyscy goście! Autorka „Wspomnień“ zwiedziła tu wszystkie mieszkania, parki, jadalnie — spenetrowała wszystkie serca i umysły i wszędzie znalazła: „nudę straszną, nienawiść, drożyznę, wilgoć i t. p.“.

Jak się niżej okaże — p. E. Ż. tak ru-chliwą nie była — nie widziała i nie zbadała gruntownie wielu rzeczy — mimo to jednak czuje się w prawie mówić jeżeli nie od wszystkich to za wszystkich. Ale rozpatrzyć bliżej gorzkie żale autorki; czytają się one, mimo goryczy, nie bez wesołości — tyle tam śmiesznych kontradycy, świadczących — jak silny wpływ może wywrzeć na swoją ofiarę — nuda...

Otóż: „ludność Połagi stanowią żmudzini, lud spokojny, uczciwy i pobożny, ale nie rozumiejący ani słowa po polsku“. To *ale* przypomina bardzo pretensję owego Niemca do warszawiaków za to, że go nie rozumieją, mimo, że lat trzydzieści już mieszka w Warszawie.

Z tem wszystkiem, jeżeli rzecz idzie o żmudzinów, właścicieli mieszkań letnich, to bez przesady powiem, że nie ma tu ani jednego, któryby słowa polskiego nie rozumiał, owszem, z wielu można się wcale nieźle rozmówić po polsku.

Ten lud spokojny, pobożny i uczciwy ma jednak pałać taką nienawiścią do wszystkich i wszystkiego co z Warszawy i Królestwa, że na każdym kroku odczuwa się tu wrogie usposobienie mieszkańców, mimo, że przyjezdni dostarczają im środków utrzymania.

Nie będę tu przesądzał sztuki godzenia w sobie wspomnianych wyżej zalet z wielką niecnotą, nienawiścią, lecz jeśli jej tu kto rzeczywiście doznał, to musiał dobrze zalać sadła za skórę mieszkańcowi, skoro zdołał wzbudzić w tych poczciwcach wielką nienawiść.

Ale nie jest tak źle, bo najprzód nigdzie chyba mieszkańcy nie są tak naiwni, aby działali wbrew własnemu interesowi, odstręczając od siebie czemkolwiek tych, którzy im dostarczają środków utrzymania, a powtóre, nikt z przyjezdnych nie powracałby do miejscowości, gdzie na każdym kroku spotyka się wrogów, straszną nudę, drożyznę, wilgoć i t. d. Tymczasem miewamy tu letników stale co rok przyjeżdżających; mieszkańcy Warszawy i Królestwa, poznawszy bliżej przyjazne warunki Połagi, zakupują tu place i stawiają wille, osiedlają się lekarze, spędzają tu lato ludzie bardzo zamożni, mogący sobie pozwolić na wszelką wybredność w wyborze letniska.

Co do drożyzny to i tu p. E. Ż. minęła się, także zapewne pod wpływem nudy, z prawdą. Ceny mieszkań i artykułów nie są

tu wyższe, niż w innych letniskach i wykaże niebawem jak dalekie od prawdy są, pod tym względem relacje p. E. Ż. Twierdzi autorka „Wspomnień“ że w pensyonatach za opłatą rb. 1 kop. 75 otrzymuje się tylko śniadanie, obiad i kolację w dość umiarkowanych dozach, które trzeba własnym przemysłem dopełniać; obiady zaś prywatne w cenie 60—70 kop., składać się mają tylko z zupy i jednego mięsa, o dobroci których dużo daloby się powiedzieć.

Otóż na dowód, że jest inaczej, przytaczam kilka przykładów: Pensyonat p. Grabskiej pobiera za śniadanie, obiad, podwieczerek i kolację po rb. 1 kop. 30; taki sam p. Wojnejkisowej po rb. 1 kop. 50. Obiady prywatne po kop. 60—70 składają się z zupy, mięsa w sosie lub pasztecików, pieczystego z jarzynami, a przy cenie 70 kop. dodaje się legomina u pp.: Bucewiczowej, Nowierskiej, Ponszakowej, Mongirdowej, Niemirycza. Wszędzie dania są obfite i urozmaicone. Dwa na początku wspomniane pensyonaty, po rb. 1.75 za trzykrotne dania, także chyba zadawałają swoich gości, skoro jeden z nich egzystuje już lat kilka a właścicielka drugiego zachęconą została przez swych łódzkich gości do założenia filii swego pensyonatu w Łodzi.

Jeszcze jedno sprostowanie w kwestyi drożyzny — mianowicie, że nikt tu nie bywa zniewolony siedzieć na trawie, gdy chce słuchać muzyki przy cukierni. Ta ostatnia otoczona jest zewsząd werandą i za zajęcie tam miejsca opłaty się nie pobiera ani też nikogo się nie zmusza by za to nabywał cokolwiek w cukierni.

Trzeba zaiste mieć umysł silnie dotknięty nudą, by zaliczać między dolegliwości siedzenie na trawie w sosnowym lasku, przy dźwięku muzyki i widoku morza wspaniałego!

Do niniejszego działu o drożyznie, będzie może na miejscu wzmianka, że mieszkańcy tutejsi zakładają przy udziale całej gminy sklep spożywczo-udziałowy, który oczywiście wpłynie znacznie na obniżenie cen za różne artykuły.

Wilgoc w Połędzie można określić podobnie jak ów burmistrz oświetlenie pewnego miasteczka. Zapytany, czy mają oświetlenie elektryczne, odpowiedział: „mamy, podczas błyskawicy“. Podobnie ma się tu rzecz z wilgocią: mamy ją w czasie deszczu i mgieł wiosennych. Zdarza się to podobno wszędzie nad morzem i nie ma też nigdzie miejscowości, w którejby się nie znalazło mieszkanie wilgotne. Jednakże lokalów suchych mamy tu dużo o co wreszcie nie trudno, bo Połęga mieści się na gruncie piaszczystym, powstałym z nalotu piasku morskiego.

Będąc często w rozterce z prawdą, wpada jeszcze p. E. Ż. i w logikę spotykaną często w metodzie Olendorfa. Píše bowiem, że park istnieje dlatego tylko, by się w nim nabawić reumatyzmu „co się tem łatwiej osiąga że gra tam orkiestra i mieści się kasyno“... O takich przyczynach reumatyzmu medycyna nigdzie nie głosi, nie zanotuje ich też i tutejsze obserwatorium ku pożytkowi medycyny.

Że p. E. Ż. nie wszystko tu widziała, lub może unika zaznaczenia objawów melioracji, czynionych w kierunku udogodnień dla przyjezdnych, świadczy pominięcie w jej „Wspomnieniach“ poważnych urządzeń jak: Obserwatorium meteorologicznego, powiększenia znacznego kąpielni ciepłych, odbudowania teatru zgorzałego na wiosnę, podwyższenia kasyna o całe piętro, lecz co najważniejsza, urządzenia z wielkim nakładem pracy i kapitału studni artezyjskiej. Przecież ta robota odbywała się z tak nieuniknionym skutkiem, że tylko głuchy mógł się nią nie zainteresować. Nie wspomina też p. E. Ż. o bytności podczas sezonu, gubernatora, który się bardzo losem Połęgi zainteresował i przyrzekł dołożyć starań, aby letnikom wydawane były

na każde ich żądanie przepustki za granicę z trzydniowym terminem, które to udogodnienie zostało już w końcu sezonu zapoczątkowane. W przyszłości więc przyjezdni nie będą zmuszeni mieć paszportów dla powrotu przez Prusy.

Wszystko to uszło uwagi ruchliwej tu jakoby pani E. Ż., natomiast widziała nieistniejącą tu kręgielnię i dyrektora teatru Janowskiego, który w czasie sezonu wcale nie był...

Żaląc się na nudę wylicza p. E. Ż. następujące urządzenia rozrywkowe: „salę czytelnianą, bilardową, pokoje do gry w karty, czytelnię względnie bogato zaopatrzoną, lawn tennis, kręgielnię, koncerty, reunicny, teatr, odczyty, zabawy dziecięce, wspólne wycieczki, pomost daleko wysunięty w morze“; dalej — „morze i las, przesliczne położenie, błękit nieba nieskończony, w głąb morza wpadający, zlewający się z nią w jedną całość, przepyszną grę światła, uroczą Birutę z romantycznym o niej podaniem, swobodną falę morską, nieskrępowaną zatoką“.

„Mein Liebchen was willst du noch mehr“ — zawołałby Niemiec na to.

A jednak... „nuda stale i niepodzielnie gości w Połędzie, opanowując wszystkie umysły, zakradając się do wszystkich serc“ — biada pani E. Ż.

Nie, Szanowna Pani. To nie w takich miejscowościach ma nuda swoje siedlisko. Jest to zgorzała towarzysząca stale i wszędzie ludziom mającym puszkę w sercu i niemającym celu w życiu. Choroba brzydka — bo nie tylko pastwi się nad swoją ofiarą ale robi z niej plagę dla otoczenia. Goniona przez nudę ofiara nigdzie nie znajduje spokoju a gwoli uldze gderze na wszystkich i wszystko.

Myślę, że gderaniem publicznym na Połęgę nie ulżyła pani E. Ż. znękanemu nudą umysłowi, ale obarcza siebie sumieniem czynem niepatryotycznym, bo zniechęca publikacją pełną nieprawdy, liczny poczet czytelników — ziomków do miejscowości swojskiej, godnej poparcia przez swoich *).

Wiadomo, że każde letnisko rozwija się zależnie od frekwencji. Ta ostatnia wzmaga się w Połędzie powoli, na co wpływa nie tyle kosztowna komunikacja, ile ta okoliczność, że Połęga leży w kraju nie zagranicą! Wszakże dla wielu naszych „patryotów“ spędzić lato w kraju, nie jest w dobrym tonie. Nie przestaliśmy być „pawiem narodów“ — nie wyleczyliśmy się jeszcze z zagranicomani i dlatego roją się jeszcze pruskie bady od polskich „papug“. Nie zraża ich rzeczywista nienawiść mieszkańców do wszystkiego co polskie, nie odstręcza ich bezczelność prusaka zabraniającego w wagonie rozmawiać po polsku, lub brutalnie wytrącającego z rąk czytającym polską gazetę. Przyjemnie im pachnie „powietrze przesycone dymem parowców w zatoce, lub zapachy pędzone wiatrem ku morzu od niepachnących miejskich... ubikacji“ **).

Pomijam już, że dla takich „patryotów“, szukających lada pretekstu do dezercji od bojkotu i z kraju, jest publikacja p. E. Ż. bardzo na rękę, ale ona informuje fałszywie tych, którzy chętnie radziby zostać w kraju, muszą jednak, chcąc nie chcąc, szukać miłego zdrowia za granicą, nie wiedząc, że je w kraju znaleźć mogą.

*) Oto jeden z głosów prasy: „Połęga pod względem skojarzenia dwóch najprzyjaźniejszych dla zdrowia czynników, warunkujących bezwzględnie czystość powietrza i lasu i morza, stoi na równi ze wszystkimi miejscami kąpielowymi Niemiec i Francji a nawet je przewyższa“.

(„Kurier Warszawski“ № 239 z r. 1908).

**) Z opowiadania pewnej warszawianki o Sobotach.

Cała pcciecha jeszcze w tem, że uważny czytelnik, mając przed sobą elaborat pełen sprzeczności, zrozumie, iż p. E. Ż. pisząc pod wpływem własnej zmyry, importowanej przez siebie do Połęgi, nie zdaje sobie spraw z tego co pisze i co czyni.

Połążanin.



Chwila bieżąca.

— Interesujący artykuł wstępny zamieścił „Kurier Lwowski“ na temat zamierzonego przez Stany Zjednoczone ograniczenia do minimum wychodźstwa włościan Austro-Węgier do Ameryki Północnej. Pismo upatruje we wspomnianym projekcie nie tylko katastrofę ekonomiczną dla Galicji, ale i socjalną

— Dziennik „Tain“ z Konstantynopola donosi, że dotychczas aresztowano 50 członków tajnego stowarzyszenia, które uknuło spisek przeciwko obecnemu ustrojowi państwa. W liczbie aresztowanych znajduje się 10 kobiet. Śledztwo w toku.

— Wzorem Wiednia i Londynu powstanie niebawem w Paryżu instytut radowy „Curie“. Będzie to skład cennego metalu w połączeniu z laboratoryum, salą wykładową i biblioteką. Budowa gmachu rozpocznie się już w grudniu, a kierowniczką będzie p. Curie-Skłodowska.

— W d. 3-m października r. b. rozpocznie się w gmachu parlamentu berlińskiego czwarty międzynarodowy kongres psychiatrów ze specjalnem uwzględnieniem spraw opieki nad umysłowo-chorymi. Łącznie z kongresem odbędzie się wystawa wszystkich przedmiotów i urządzeń, tyjących się terapii i opieki nad umysłowo-nerwowo chorymi, z uwzględnieniem postępów, uczynionych w tej dziedzinie w ciągu ostatnich lat 30-tu. W gmachu parlamentu wygłoszone też będą liczne odczyty, ilustrowane obrazami świetlnymi.

— W r. b. z rozpoczęciem nowego roku szkolnego, pierwsza prywatna szkoła handlowa żeńska, dawniej A. Werekiej, obecnie współdzielcza, pozyska ósmą klasę Program nauk w siedmiu klasach ulegnie więc pewnej zmianie ósma zaś klasa, jako dopełnienie wykształcenia handlowego kobiecego, pozwoli na pogłębienie wykładu wielu przedmiotów. Do programu klasy 8-iej należy również nauka malarstwa i rysunki.

Od Z. K. Z.

Stowarzyszenie Zjednoczonych Ziemianek zawiadamia, iż 10-ciodniowe kursa dla Ochrońiarek odbędą się w Warszawie, Kopernika 14, w Świetlicy. Trwać będą od 15 do 25 września r. b.

Panie ochrońiarek proszone są o przyniesienie robót wykonanych przez dzieci w ochronkach.

Po bliższe warunki zgłaszać się do Biura Ziemianek, Kopernika 14.

Treść numeru:

Gra fał, powieść, przez Kaz. Przerwę-Tetmajera. — Zapolska w stosunku do pracy kobiet, przez Cecylję Walewską. — Z życia wsi, przez Wandę Grot-Bęczkowską. — Ze starych roczników, przez J. Okszę. — Święty Fen, powieść, przez Macieja Wierzbńskiego. — Na mandolinie, wiersz, przez Bożymira. — Życie kobiety polskiej na tle życia amerykańskiego, przez Stefanję Laudynową. — Nauczycielka, przez Tadeusza Konczyńskiego. — Głosy czytelników: W obronie Połęgi, przez Połążanina. — Od Z. K. Z. — Ogłoszenia.

Do niniejszego numeru dołącza się:

1) Opis ubiorów i robót z rycinami; odpowiedzi p. Marcèle.

2) Arkusz 12-ty powieści Jonasza Lie, p. t. „Małżeństwo“.

7 klasowy zakład naukowy żeński z pensjonatem,
klasą wstępną i podwstępną
Wiktorji Jedryczkowskiej

Ciepła № 4.

Zajęty i egzaminy powakacyjne od 24 sierpnia.

367



Prasy do soków

Miski mosiężne do smażenia konfitur. Maszynki do wydrążania po 12 wiśni naraz. Kuchenki naftowo-gazowe „Primus“ polecają:

Krzysztof Brun i Syn

w WARSZAWIE, plac Teatralny.

3-letnie Kursy handlowe żeńskie

J. Siemiradzkiej

(Ś-to Krzyska № 30).

Wyższe wykształcenie handlowe i ekonomiczne. Teoretyczne i praktyczne przygotowanie do pracy zawodowej. Od wstępujących wymagane świadectwo z ukończenia średniej szkoły. Początek wykładów 15-go Września

Kierownik naukowy **Tomasz Ruskiewicz**

MAGAZYNY KONFEKCYI DAMSKIEJ I DZIECINNEJ

Bronisławy Szyszko

314

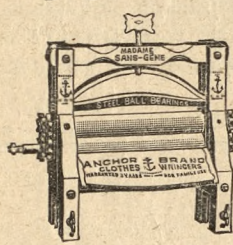
Warszawa, Chmielna 37, Telefonu 122-05,
Senatorska 6; Tel. 194.40. Elektoralna 43, Tel. 111.07

Poleca: Bluzki, Kostiumy, Suknie, Peniary, Halki, Matinki, Bieżeńską damską, ubranka dziecięce. Mundurki dla pensjonarek, palta, berety itd. Ponadto: Paski, żaboty, pończochy itp. Suknie reformowane. Wykończenie staranne. Punktualność. Ceny przystępne. Zamówienia z prowincji skuteczniają się natychmiastowo.

Stephan Chaussure de luxe
Nowy Świat 47

Wytworzone obuwie dla Pań i Panów. Wielki wybór trzewików balowych. Najświeższe fasony paryskie. Ostatnie słowo szyku i elegancji. 218

Ostatnia Nowość!
Wyżymaczki „Madame Sans Gêne”



297

udoskonalonej konstrukcji, z łożyskami kulowymi Lowella, działające tak lekko i szybko, że pozwalają, bez najmniejszego zmęczenia, w tym samym czasie, wyjąć 5 razy więcej bielizny, niż przy użyciu dawniej reklamowanego przez nas systemu „Empire”. Te ostatnie wyżymaczki również posiadamy na składzie, lecz przynajmniej, że system „Madame Sans Gêne” przewyższa wszystko, co było dotychczas znanem na tem polu. — Za wyżymaczki „Madame Sans Gêne”, przy normalnym ich użyciu, 3-letnią dajemy gwarancję.

Krzysztof Brun i Syn
w Warszawie, plac Teatralny

Zakład fizyko-leczniczy dla chorób kobiecych

Szkolna 5 (Marszałkowska 140) tel. 119-34

D-rów S. HUBICKIEGO, L. LORENTOWICZA I S. WISZNICKIEGO

Leczenie wysięków i spraw zapalnych organów miednicy, leczenie otyłości i niedowładu jelit. Metody lecznicze: kąpiele świetlno-elektryczne, w gorczym powietrzu, kwaso-węglowe, mineralne, błotne nasiadowe (błoto Krynkie i Ciechocińskie), okłady z błota limanowego i Fango, obciążanie, douches permanentes, elektryzacja, masaż vibracyjny i ręczny, gimnastyka lecznicza.

Wypożyczanie przyrządów do leczenia gorącym powietrzem. 265



KALODONT

NIEZBĘDNY 316

Krem i eliksir do zębów

zbadany przez urzędy lekarskie.

(Wiedeń 3 Czerwiec 1887 r.
i Paryż 2 Kwiecień 1890 r.)
Przy użyciu zęby pozostają czyste białe i zdrowe.



Zmarszczki usuwa radykalnie po dwutygodniowym użyciu pasta

La Jeunesse

Wyraźczy „Vivienne” w Paryżu.

Sprzedaż w perfumerjach i większych składach aptecznych.

Przedstawiciel: **A. WEINSTEIN** Złota 52.

Ekstrakt Orzechowy

perf. J. Józefowicza

nieszkodliwy środek do farbowania siwych włosów na kolor czyny, szaryn lub blond. Flakony po rb. 1 kop. 50 — rb. 2 kop. 25 — próba 1 kop. 60

w Warszawie

w Składach Aptecznych i u

A. STANKIEWICZA

dawniej Józefowicz,

Warszawa, Nowo Senators. 2.

PRZEJAZD SAMOCHODEM

do Libawy, Połagi, Memlu. H. Kirchof, właściciel hotelu St. Petersburg w Libawie. Wyjazd z Libawy codziennie o godz. 8 1/2 rano z hotelu St Petersburg. 359

Mydła świerkowe, sosnowe, jodłowe, lipowe i t. p. firmy

H. Kiehlhauser w Graz

dostać można we wszystkich pierwszorzędnych składach perfumeryjnych i aptecznych. 289

Dr. Feliks Malinowski

900 Mazowiecka 4.

Leczenie światłem Roentgena, Finsen-Kromayera, radium. Termoterapia. Elektryzacja. Endoskopia i t. d. Choroby skóry, włosów, weneryczne i kosmetyka lekarska.

307 Ces. Król. nadworny dostawca

Magister farmacji

JAKÓB RECHEN

Lwów, Halicka 18.

Droguerya

posiada wszystkie zalecone w „Bluszczu” środki i przybory kosmetyczne.

PANI DOMU

Mieczysława Rościszewskiego

cena księgar. 1.50. Dla prenumeratorów „Bluszcza” 80 kop. z przesyłką pocztową 1 rb. za zaliczeniem 17 kop. wiecej.

Terror Parada bezwonny proszek na idealnie czysty **Mole Metale**

Żądać wszędzie.

Władysław Różycki, Marszałkowska 82, tel. 4.33.

„GLYROL”

zagranicą wytworzone damy powszechnie używają Krem GLYROL, przekonawszy się, że środek ten chroni radykalnie cerę podczas pory zimowej Skład główny Bracia Orszagh, Warszawa.

Najlepsze środ. udelikatniające i wybielające skórę są:



Krem, Alkohol i Mydło ogór.

wyrobu Apteki

M. Malinowskiego

w Warszawie, Nowy Świat 85

Jak można wyleczyć rapturę sposobem domowym.

369

BROSZURA BEZPŁATNA.

Znakomity specjalista angielski wydał broszurę, która wysła także w języku rosyjskim. Wyjaśnia w niej, jak można wyleczyć rapturę w każdej postaci bez operacji i to w sposób najprostsz, który wszyscy cierpiący na tę niebezpieczną i przykrą chorobę, mogą stosować i używać u siebie w domu. Broszura wyjaśnia prosto i zrozumiale, aby każdy mógł pojąć, co czynić należy, by osiągnąć rychłe i trwałe uleczenie bez względu na ostrzejszy lub lżejszy stan raptury.

Wielu ludzi na całym świecie już się wyleczyło, otrzymawszy tę znakomitą broszurę i badając szczegółowo zawarte w niej wskazówki. Aby każdy człowiek, cierpiący na rapturę, mógł się dowiedzieć, jak się wyleczyć bez operacji i bez bólu, wielki ten specjalista postanowił rozpoznać broszurę wśród wszystkich, którzy zwrócą się po nią listownie. Jest to bardzo łojna propozycja, więc też wszyscy mężczyźni, kobiety, dzieci, którzy potrzebują wyleczyć się z raptury, powinni natychmiast zwrócić się po broszurę. Nie trzeba posyłać pieniędzy, lecz tylko napisać swe imię, nazwisko i adres na liście otwartym z marką 4-o kopiejkowa i wtedy broszura będzie wysłana pocztą. Wszystkie żądania broszury powinny być adresowane w następujący sposób:



W. S. RAJS

RM1 Specjaliście raptury

LONDYN,

(ANGLIA).

Koresponden ya w języku rosyjskim.

W. S. RICE,

RM1 Rupture Specialist,

8 & 9 Stonecutter Street,

LONDON, E. C.

Specjalna Pracownia Okryć Damskich Sezonowych.

Kostiumy angielskie wykonywane według najpiękniejszych wzorów. Roboty stylowa. Akuratność w terminach.

318 **K. Sztajnduchert** Telefon 78-06

w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście Nr. 7, m. 30. 1-sze piętro.

Specjalna Pracownia Bielizny

damskiej, męskiej, dziecięcej, pościelowej, kolder oraz kompletnych wypraw od najskromniejszego do najwykwintniejszych, ceny niskie, bo w prywatnym mieszkaniu, polecają **Bronisław Lissner i Eleonora Holler** byli 16 letni współpracownicy firmy „Teofila Fuks”.

Warszawa, Wspólna 47. Tel. 120-67.



Pracownia Gorsetów

J. Kropiwnickiej

Warszawa Chmielna 21
Telefon 155-80

Nagrodzona na konkursie i Medalami na Wystawie Hyg.

Specjalny gorsecik nagr. dla pensjonarek.

GORSETY DLA ARTYSTEK. Fasony paryskie.